CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXIII

ŚWIAT

№ 1

WARSZAWA, DNIA 7-go STYCZNIA 1928 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO



Śród tajemnic genjuszu

W naszych badaniach „naukowo-literackich" przez długie lata panowała t. zw. „metoda genetyczna". Polegała ona na mozolnem gromadzeniu faktów, informacyj, „przyczynków" życiorysowych, wywodów genealogicznych i historycznych, domysłów co do pożyczek, zależności i wpływów twórczych. Ta wiedza o życiu pisarza, obficie pokładana plotką, rościła sobie pretensje do *naukowości*. Zarazem tak nią przesycono atmosferę studjów literackich, że gdy w odrodzonej Polsce „poloniści" stanęli przed młodzieżą z tą gadaniną informacyjno - historyczną, zaczęli jej systematycznie obrzydzać poznawanie dzieł i arcydzieł literatury.

Jałowość takiego pasorzytowania na życiorysie publicznym i prywatnym wielkich pisarzy musiała, prędzej czy później, wzbudzić reakcję. Zwrócono nareszcie uwagę na fakt oczywisty, że przecież, obok szczegółów żywota twórcy literackiego, istnieje jego *dzieło;* że zbliżenie się do niego duchem i wrażliwością nie wyłącza badań „zawartości tekstu artystycznego jako odrębnej sfery rzeczywistości ludzkiej". Z takim właśnie programem badań literackich przychodzi młode pokolenie polonistów lwowskich, ogłaszających swe prace doktorskie, przygotowane w seminarjach uniw. Jana Kazimierza, pod kierunkiem prof. Kleinera. Po dwóch poprzednio wydanych rozprawach („Ewolucja obrazów u Słowackiego" p. S. Skwarczyńskiej i „Sentymentalizm w twórczości Mickiewicza" p. H. Schippera) otrzymujemy teraz pracę p. Henryka Balka p. t. „Z badań nad wyobraźnią artystyczną Stanisława Wyspiańskiego" (Wyd. Zakł. Nar. im. Ossolińskich we Lwowie. 1927).

Autor, badacz wybitnie zdolny, przejęty metodami *psychografji* niemieckiej, wyłożył je pracowicie w obszernym wstępie i uzasadnił, dlaczego w rozważaniu wyobraźni Wyspiańskiego połączyć chce dwie metody: analityczną i klasyfikacyjną. Sądy swe opiera p. Balk na rozbiorze całkowitej puścizny literackiej Wyspiańskiego w dziedzinie metafor, które uważa za zjawisko, pozwalające głęboko wniknąć w misterjum duszy artystycznej.

Metafora jest istotnie podstawą języka poetyckiego. Fakt to powszechnie znany, że jednostka silnie pobudzona ma naturalną skłonność do wyrażeń obrazowych. Już w osiemnastym wieku Vico wykazywał, że powstawanie najważniejszych tropów (przenośnia, zamiennia, metonymja i ironja) najściślej jest związane z umysłowością ludzką, z tworzeniem się języka i mitologji. W budowie wewnętrznej metafory podzielić można na kilka grup. Najpierwszą stanowić będą takie, które tworzymy przez obserwowanie siebie oraz innych ludzi. Znaczenie przeważnej ilości metafor tej kategorji odpowiada dokładnie danym naukowym, zapisanym w fizjologji. Wzruszeniom przyjemnym np. towarzyszy pewne zwiększenie temperatury; przenośnia wyraziła to oddawna w takich wyrażeniach, jak: *ogień namiętności, palić się* (pożądaniem), *zapaleniec, rozpalone serce* etc.. Bólowi i wzruszeniom ujemnym towarzyszy zwykle zmniejszenie wydzielin wogóle, a zwłaszcza śliny. Brak

śliny sprowadza nieprzyjemne czucie smaku, które w języku przenośnym zaznaczone zostało wyrażeniami: *pełen goryczy, gorzkie słowa, gorzkie wymówki* i t. d. Druga forma metafory powstaje wtedy, kiedy pewnemu przedmiotowi zewnętrznemu przypisuje się cechy drugiego na zasadzie podobieństwa niektórych cech. Największa jednak grupa metafor pochodzi z przyrównania przedmiotu mało znanego do innego, dobrze znanego, zwykle człowieka lub zwierzęcia. Poezja czerpie zazwyczaj z wszystkich grup metafor, a ich charakter, obfitość i oryginalność świadczy o gatunku i bogactwie talentu poetyckiego. Zręczna metafora staje się dość łatwo *formułą* literacką, która nie jest obowiązującą, ale wszyscy jej ulegają chętnie. W Stanach Zjednoczonych potrzeba było zgórą pięćdziesięciu lat wytężonego życia narodowego, aby z poezji usunąć skowronki i słowiki, nie istniejące w Ameryce Północnej. Przywędrowały w metaforach poetów europejskich i walczyły długo o swój żywot sztuczny wraz z „lazurem nieba", „hebanem włosów", „szmaragdami łąk", „malinami ust", „liljami rąk" i t. d.

Badanie tropów Wyspiańskiego, traktowane z wielkim nakładem pracy porównawczo - historycznej, ograniczył p. H. Balk do dwóch kategoryj: *przenośnia* i *porównanie.* Ptaki, zwierzęta, płazy i cały świat roślinny — oto stałe źródło metafory Wyspiańskiego, jak wszystkich zresztą poetów . Na czoło porównań Wyspiańskiego w kształtowaniu artystycznem jego poezji wysuwają się motywy *orła* i *sokoła.* Używa ich poeta najczęściej (59 razy). Ta predylekcja ilościowa wyjaśnia zasadniczą wytyczną psychiki poety, t. j. wolę patetycznej wzniosłości uczucia i potężnego napięcia dynamicznego. Bardzo często (25 razy) występuje również w porównaniach *sęp,* jako kontrast emocjonalny z orłem. Posiada on barwę wybitnie ujemną, chociaż ma równie silne jak orzeł naprężenie dynamiczne. Orzeł i sokół — to patos światła, sęp — to patos ciemności. Rzecz charakterystyczna, że ptaki te w metaforach Wyspiańskiego nie mają zgoła wartości kolorystycznych, chociaż patrzy na nie wielki malarz. Poetę obchodzą jedynie właściwości psychiczne ptaków, ustalone w literaturze i mowie potocznej. Dzieje się tak we wszystkich niemal przenośniach Wyspiańskiego. Obok „króla ptaków" występuje najczęściej „król zwierząt" — lew, również patetyczne zwierzę poety i również niepokazywane ani w barwie, ani w ruchu. Odwiecznego „poetycznego" słowika wspomina Wyspiański raz jeden (w „Weselu"), podkreślając ironicznie jego konwencjonalny charakter. Dość często (30 razy), ale zwykle w ujemnej barwie uczuciowej zjawia się u Wyspiańskiego pies. Z tradycyjnej wierności psa korzysta poeta wyjątkowo i zawsze podaje ją z odcieniem pogardy. Wszystkie porównania, dotyczące psa, stanowią u Wyspiańskiego świadectwo „żywiołowego wstrętu do ckliwości, słodyczy i sztucznej patetyczności, a gorące pragnienie szczerego, choćby nawet brutalnego wyrazu". W tradycyjnej barwie emocjonalnej występują u Wyspiańskiego nieliczne motywy innych zwierząt oraz — płazów, gadów, wreszcie owadów.

Kwiaty posiadają naogół dla Wyspiańskiego - poety walor stały: barwią się melodją emocjonalną o charakterze dodatnim i o łagodnem napięciu dynamicznem. W dziedzinie kwiatów, wprowadzanych najczęściej do literatury, zachował Wyspiański znaczną rezerwę: raz tylko mówi o jaśminie i o kwiecie jabłoni; pozatem wprowadza częściej konwencjonalną różę (18 razy) i lilję (9 razy). Z motywów obu tych kwiatów nie wydobył jednak poeta tonów samodzielnych tak, jak to czynił w swem malarstwie dekoracyjnem. Nie odbiegają również od utartych wzorów przenośnie i porównania z zakresu zbóż, roślin ogrodowych, chwastów, grzybów etc.

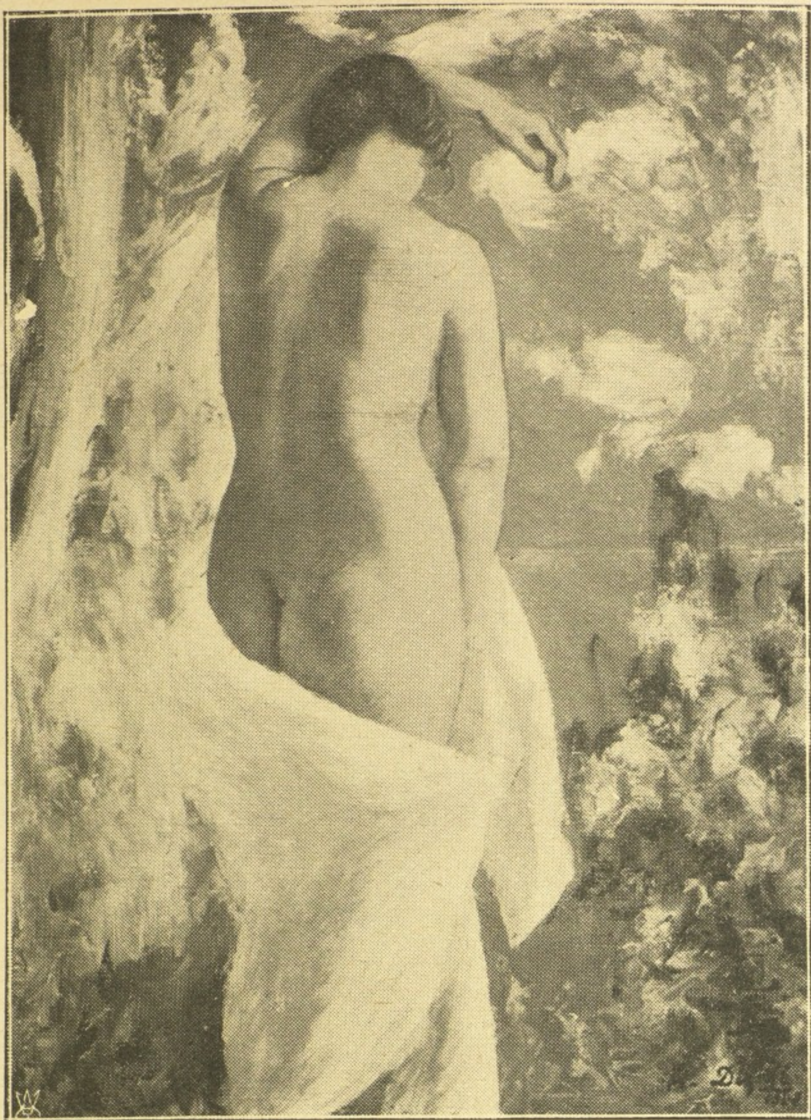
Analiza przenośni i porównań Wyspiańskiego nasuwa p. Balkowi takie wnioski syntetyczne co do wyobraźni poety: W nielicznych jedynie przypadkach chodzi Wyspiańskiemu o przenośnię dla malarskiego określenia tematu; natomiast wysuwa się u niego na plan pierwszy uwydatnienie barwy uczuciowo - asocjacyjnej. Barwa ta, dodatnia czy ujemna, nie odbiega prawie zupełnie od typu tradycyjnego, ale odznacza się silnem, namiętnem, *patetycznem* napięciem dynamicznem. Wyspiański - malarz zrzeka się w swej poezji najbliższych mu środków ekspresyjnych: koloru i kształtu, aby zadowolić się przemawianiem do uczucia. W ten sposób malarz staje się niejako muzykiem. „Nie w tem znaczeniu, jakoby miast barwy i kształtu wprowadzał mowę szelestów i szmerów, lecz dzięki osnuwaniu przenośni patetyczną mgławicą asocjacyjno-uczuciową, działającą tak samo, jak muzyka". Wyobraźnia Wyspiańskiego jest wybitnie patetyczną. Obrazy miękkie, delikatne i subtelne maluje poeta niechętnie. „Pieściwą miękkością melodji uczuciowej nie umie Wyspiański przemawiać do duszy naszej".



Czy istotnie taka jest synteza „wyobraźni" Wyspiańskiego, jak ją buduje w swem wnikliwem studjum p. Balk? Czy jego określenie muzykalności utworów literackich Wyspiańskiego nie jest raczej... jeszcze jedną piękną metaforą krytyka? Musimy pamiętać, że wyobraźnia poetycka składa się z różnych elementów, śród których metafory nie stanowią sprawy głównej. Elementem najważniejszym jest *idea twórcza,* ta, z której rodzi się niejako organicznie całe dzieło i która innym elementom daje kształty i barwy, rytm i linje. Idea twórcza decyduje o konstrukcji obrazów i wiązań poetyckich, rozkłada światła i cienie, kieruje dynamiką uczuć i namiętności. Dopiero na tle całokształtu *obrazów* w dramatach Wyspiańskiego (obrazów wybitnie dekoracyjnych) jego ubogie napozór metafory nabierają właściwego znaczenia. Nie można ich traktować, jako „odrębnej sfery rzeczywistości ludzkiej", bo ta rzeczywistość związana jest organicznie, z inną rzeczywistością, t. j. całym obrazem poetyckim; bez ustalenia wzajemnego stosunku metafory do obrazu, wniosek syntetyczny krytyka-analityka będzie niepełny. „Któżby, — woła Słowacki — nie zajrzawszy w krainy ducha, wiedział, co to znaczy, że jednych *słów* jest *kolor* w oczach krwawszy, inne — jakoby z tęcz wite przez tkaczy; a drugie — całą woń swoją wylawszy, gdy przyjdą na ton wieszczowi w rozpaczy, to w długą rymu kładną się kolumnę — bezwładne — ciche — jako trupy w trumnę".

Tak rzekł imperator metafory polskiej....

Jan Lorentowicz



H. Déziré Fot. Roseman *Młodość*



R. Kramsztyk Fot. Londyński *Mulatka*

PARYSKI SALON JESIENNY W 1927 ROKU

Paryski sezon jesienny jest dla sztuk plastycznych zwierciadłem modernistycznych wysiłków artystycznych międzynarodowych. Poświęcamy mu więcej miejsca, chcąc dać czytelnikom naszym tak w ilustracji, jak sprawozdaniu wyczerpujący obraz osiągniętych rezultatów na tej wystawie.

Z wielką emfazą organizatorzy zapowiedzieli w tym roku, że najlepsze miejsca będą zarezerwowane dla Młodych. Nie przeszkodziło to naturalnie wszystkim lepszym malarzom francuskim znaleźć się jakoś w salach uprzywilejowanych. Na galerje obwodowe i do sal dolnych dano głównie dobrych artystów cudzoziemskich, gdy wielu innych znacznie gorszych zaawansowano na miejsca korzystne.., by służyli zapewne zamiast „repoussoir'u" mistrzom krajowym! W końcu ta sławna reforma ograniczyła się do bardziej jeszcze, niż zwykle, chaotycznego przetasowania artystów, niezależnie od ich waloru i różnic.

Ekstrawagancje zanikły prawie zupełnie. Kubistów i purystów na palcach policzyć, chociaż podskórny i raczej dodatni wpływ kubizmu wyczuwa się często. Kiczów jest wiele, jak zawsze, mniej się widzi natomiast kipiączki oryginalnej i burzliwych szumowin z przed czasów wojny. Poziom ogólny techniki i sumienności artystycznej niewątpliwie się podniósł. Średnia przeciętna jest lepsza, brak zato nowych rewelacji. Czy wynik to dla twórczej ewolucji sztuki dodatni, to inna sprawa... Zresztą w tej kolosalnej powodzi (2500 obrazów i kilkaset rzeźb) czyż podobna coś kategorycznie orzec? Uparcie się narzuca myśl o przeżyciu się tych kilometrowych jarmarków papieru i płótna pofarbowanego, gdzie—rari nantes in gurgite vasto — giną w tej nawale rzeczy nieraz najlepsze. Uwaga ta, oczywiście, odnosi się do widzów, krytyk bowiem, jak augur, musi wyrokować, jakgdyby widział i poznał wszystko na wylot.

Ze starszej generacji francuskiej spotykamy tu większą część tuzów: ironicznego wirtuoza H. Matisse'a z jego odaliskami, subtelnego Laprade'a, Bonnarda, d'Espagnat, Flandrina, celującego w mądrze, czy nie za mądrze? budowanych kompozycjach, uspokojonego raczej Vlamincka, tęgiego Varocqier i rozkosznie fantazyjną w swych białych symfonjach p. Marval.

Z młodszych (nie mieszać z Młodymi!) na czoło wysuwa się *Sabbagh*. Plastyka kształtów, zestrojenie kolorystyczne całości w zwartej i bujnej kompozycji jednako uderzają w jego „Po kąpieli". Śmiało i mocno zapowiada się *Charlemagne.* Zasługują rzetelnie na uwagę p. H. Dufau, Dufresnoy, Poncelet, Gerber w jurnych scenach paryskich, Lotiron, Berque, Fornerod, szwed Osterlind...

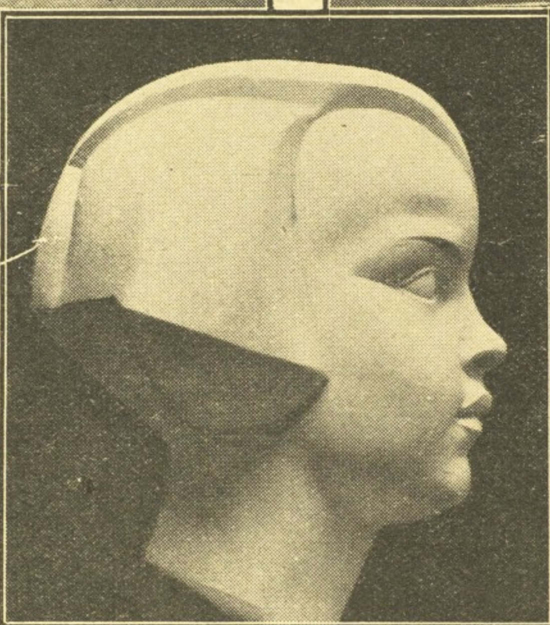
Aktów dużo, może za dużo. Naogół ton realistyczny przeważa. Tylko skąd się wzięło to nagłe powszechne rozmiłowanie w „odwrotnej stronie medalu", — z której niemal można by zrobić godło tegorocznego salonu? To są echa pokutującego postkubizmu z jego kultem dla imponujących rozległością kształtów? Czy wpływ jazz-bandu i mody murzyńskiej, szukającej w kobiecie przedewszystkiem obfitości?... Zacytujmy — bez związku z powyższem, piękne akty Charlot



R. Kramsztyk. Ekwilibrysta chiński



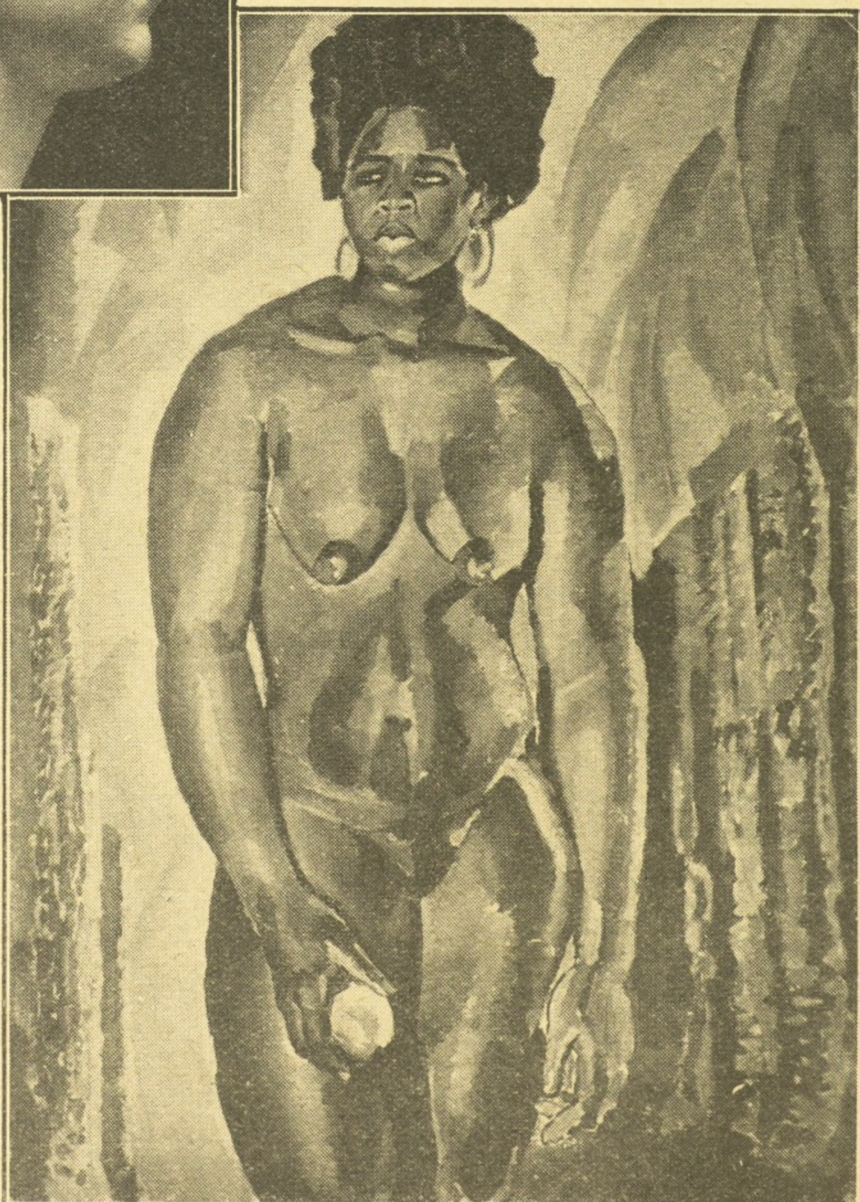
L. Mikaïl. Akt



J. J. Martel. Główka



Łempicka Rafaela: Portret



E. Kwiatkowska. Kobieta afrykańska



H. Ottmann Fot. Roseman *W salonie modniarki*



Sabbagh Fot. Roseman *„Po kąpieli"*

i Déziré, interesujące — Thomsena, Crissay, japończyka Nakamura, belga Kwapila.

Retrospektywna sekcja obejmuje kilkadziesiąt płócien przedwcześnie zgasłego H. Ottmana, którego nieraz tu omawialiśmy. Wybitny ten artysta posiadał sobie tylko właściwą gamę barwną o płynno metalicznych polśnieniach i świetlistych modulacjach przy dużem wyczuciu natury, nastroju intymnych wnętrz i wdzięku kobiecego aktu.

Z rzeźby zatrzyma nas rozmach Penthésilée Bouraine'a, mistrzowskie zwierzęta Pompona, M. Hernandeza, harmonja formy Clara, Marque'a...

Udział polski jest coraz liczniejszy. (47-iu w tym roku). Rzecz znamienna, i liczbą i walorem kobiety rywalizują na dobre z mężczyznami. P. Mola Muter złagodziła korzystnie surowość kolorystyczną swych głęboko wyczutych i pomyślanych portretów. P. Łempicka buduje swe kompozycje w czystych ciekawych tonacjach, uwydatniając syntetycznie wyraz i bryłę modela.

P. Ordyńska-Morawska nęci nas soczystym kolorytem swych kwiatów i ewokacyjnego zakątka pejzażu. P. I. Reno prezentuje trzy odmiany swego ciekawego talentu. Celowo uproszczony kolorystycznie a bardzo ekspresyjny portret męski sąsiaduje z rytmicznie jaskrawym i bogatym w kompozycji szyldem dla modniarki obok wspaniale wydanego albumu litografji, zdumiewających swą siłą wizji estetycznej widoków Nowego Yorku. P. Lewicka w spokojnej acz żywej gamie barwnej osiąga harmonję kompozycji czy to w ruchu (gracze w kręgle) czy w pozie medytacyjnej grupy kobiet z dziewczynką. Dekoracyjne w układzie i bujności tonów kwiaty p. Piramowiczówny są nawskroś oryginalne. P. Alexandrowiczowa uchwyciła wdzięk egzotyczny kociąt sjamskich, bawiących się na prymitywnie zaznaczonej łączce. P. Kwiatkowska celuje w konstrukcji plastycznej swych Murzynek. Cokolwiek za brutalna w modelunku szczegółów. Interesujące projekty kostjumów dekoracyjnych p. Hohermanówny.

P. J. Peske przykuwa widza powagą wspaniałą i głębią wczucia się w naturę. P. Kramsztyk jest mistrzem plastyki o jędrnej pełni karnacji i wyrazu. P. K. Zieleniewski maluje z rozmachem kwiaty przepyszne w swej żywiołowości. P. Mondszajn łączy precyzję rysunku i kompozycji w czystych bez oszukańczej gry atmosferycznej tonacjach. Akt p. Haydena, trochę jeszcze renoirowski w kolorycie, ma niezaprzeczone walory kompozycyjne. Portrety p. Gwozdeckiego pociągają swemi zaletami barwnemi i plastycznemi. P. Kanelba zaniedbuje niekiedy w swych pracach rozdział rysunkowy płaszczyzn; wynagradza to świeżością indywidualną ujęcia tematu. P. Grunsweig przy pozornej oschłości daje własną szczerą wizję nautry. P. Aberdam, wyrzekłszy się eksperymentów medyczno - kubistycznych, ujawnił prawdziwe zdolności kolorysty. Niezaprzeczone zalety przy różnych brakach ujawniają panie Lichtenstejn, Fedorowicz, Bornstejn, Decler; panowie Geppert, Wysscota, Koziebrodzki, Mystkowski, Marylski, Menkes, Jarosz; rzeźbiarze p. Lipszyc, Cytronowicz.

P. H. Kuna ogarnia swem dziełem rzeźbę i malarstwo. Obok szeregu szlachetnych wswej syntetycznej stylizacji główy kobiecych w bronzie i marmurze oraz pięknego biustu młodziuchnej dziewczyny wystawił dwa obrazy figuralne, wskrze-

szające czar fresków wczesnego renesansu. Wiosna — śliczna i naga p. K. Święcińskiego zadziwia pełnią i bujnością swej rytmiki. Biust Słowackiego p. F. Blacka ma sporo subtelnej smętnej zadumy. Akt leżący dziewczyny jest doskonały w swej naturalnej pozie i wdzięku rozkwitłego młodego ciała. Pani Mikunowa robi nieustanne postępy w trudnej technice portretu w ceramice. Spokojnym i wyrazistym jej rzeźbom przydałoby się nieco więcej lekkości i swobody w układzie.

Grafika jest dobrze reprezentowana. Subtelność rysunku i finezja kompozycji p. K. Brandla zdobywa prawdziwą potęgę wyrazu w jego kapitalnym autoportrecie. Humor wytworny i lotna fantazja p. Hechta święcą tryumfy w jego egzotycznych miedziorytach. Surowa głęboka emocja artysty narzuca się nam z siłą ewokacyjną w drze-



worytach p. Mrozewskiego. P. Cieślewski (syn), obok ponurej wstrząsającej Karuzeli, wystawia arcywdzięczny dekoracyjny widok na Wawel.

Makiety dwuch will p. Elkuchena natchnione są naskroś nowoczesną tendencją operowania masami i blokami bez udziału ornamentacji. Wprowadza tu wszakże indywidualną świeżość i rozmaitość płaszczyzn, nie unikając konturów okrągłych, wyklętych przez doktrynerów puryzmu.

P. S. Łazarska zdobyła, jak wiadomo, wielki sukces swą dekoracją pokoju dziecinnego na wspaniałym transatlantyku Ile de France. Obecnie demonstruje nam trzy panneaux, malowane tą samą techniką batikową na drzewie o arcy radosnej grze żywych kolorów w ramach kompozycji pełnej werwy niewymuszonej i ujmującej wdziękiem fantazji.

Z przyjemnością musimy skonstatować, że udział polski w Salonie nie robi nam wstydu. W całości góruje nad wkładem innych grup cudzoziemskich, nie wyłączając specjalnej, dość monotonnej Sekcji niemieckiej.

Edward Woroniecki

Paryż

NARADA ANARCHISTÓW

John Collier, znakomity angielski malarz, którego obraz p. t. „Narada anarchistów", wystawiony w królewskiej londyńskiej akademji, wywołał żywe komentarze w prasie i opinji angielskiej

LITUANIA IRREDENTA

Dnia 20 grudnia w kasynie oficerskiem w Kownie premjer litewski, Waldemaras, wygłosił przemówienie o istocie sporu litewskiego z Polską i o rezolucji, która zapadła w Genewie 10 grudnia na posiedzeniu Rady Ligi Narodów. W streszczeniu telegraficznem, które rozeszło się szeroko po świecie, oświadczenie to, będące syntezą wszystkich innych oświadczeń litewskich, złożonych w ciągu ubiegłego miesiąca, brzmi, jak następuje:

> **„Liga Narodów rozważała pytanie, czy uchwała Rady Ambasadorów z 1923 r. jest obowiązującą. Uznała, że ta uchwała nie obowiązuje Ligi Narodów. To stwierdzenie przekreśla faktycznie uchwałę Rady Ambasadorów. Po tem zwycięstwie nie zaniechamy usiłowań naszych, aż odzyskamy Wilno".**

Każde słowo powyższego oświadczenia jest kłamstwem, każde jest wyzywającem zuchwalstwem, każde aktem złej woli! Tak sobie szef rządu litewskiego wyobraża wspólne pożycie dwóch państw i tak mu się przedstawiają zalecone w Genewie rokowania, po zrzeczeniu się „stanu wojny" i po rycerskim geście naczelnego wodza wojsk polskich!

Nie mamy już żadnych złudzeń. Wiemy, czego możemy spodziewać się po takim przeciwniku politycznym i z jak wielkiemi trudnościami będzie musiał walczyć rząd polski, aby wytrwać niezłomnie w swej polityce pokojowej i lojalnie zastosować się do wskazań Rady L. N.

Przypatrzmy się bliżej akcji propagandowej litewskiej, przeciwko Polsce zwróconej. Ale przedtem spróbujmy zrozumieć logikę i psychikę Litwy. Tak, Litwy, bo musimy sobie wyperswadować, że to nie sam Waldemaras stawia kwestję wileńską na ostrzu noża. Jasnem jest, że pod tym względem wszystkie stronnictwa litewskie, prócz słabej frakcji socjalistycznej, są dziś nieprzejednane. Jest to, niestety, taki sam pewnik, jak ten, że wszystkie rządy, jakie rządziły na Litwie od czasu Taryby, były jednomyślne w nienawiści do Polski, w tępieniu życia polskiego w Kowieńszczyźnie, w dążeniu do zagarnięcia ziemi wileńskiej.

Dziś już zaprzestano mówić o tem, na jakich podstawach moralnych opierają się pretensje litewskie. Dla Kowna—Wilno litewskie jest aksjomatem. Dla opinji zagranicznej, półświadomej i po mistrzowsku teroryzowanej, kwestja litewska jest kwestją sporną. Wszystkie dyskusje toczą się wyłącznie około uregulowania tej kwestji ze stanowiska prawa międzynarodowego i „realnych" interesów Europy. A jednak warto zapytać, czem moralnie uzasadniają propagatorzy litewscy swoje rewindykacje?

Najczęściej mówi się o prawach historycznych, jako nieprzezwyciężonych. Nie czas i nie miejsce na obszerne rozprawy, więc tylko w kilku słowach postaramy się oświecić uroszczenia państwa Kowieńskiego do Wileńszczyzny i Wilna.

Dwumiljonowy naród litewski może pochlubić się, że ma za sobą długą, pełną sławy przeszłość. Już na przełomie XIII i XIV w. stworzył państwo, posiadał wielkich wodzów i bohaterów, jak Gedymin, Kiejstut, Olgierd, Witold. Przy końcu XIV w. Litwa związała się unją personalną z Polską, a w XVI w. zespoliła się z nią unją państwową, dobrowolnie zaprzysiężoną.

Są jeszcze dwa inne tytuły do restytucji: prawa etnograficzne i kulturalne, ale te nie są do wygrania w sporze o Wilno i Wileńszczyznę. Na ziemi wileńskiej przedstawiają litwini znikomą mniejszość. Na pół miljona polaków 50 tys. litwinów! A chyba nikt nie zaprzeczy, że Wilno jest nawskroś polskiem miastem. Co się tyczy kultury, to trzeba oddać sprawiedliwość państwu litewskiemu, że robi na tem polu wielkie wysiłki i czyni wielkie postępy, ale z kulturą polską mierzyć się nie może. Tak samo, jak w średnich wiekach nie mogło zmierzyć się z kulturą ruską. Język ruski zapanował nawet na dworze w. książęcym i nawet Statut litewski był spisany w tym języku. Może więc lepiej nie mówić o prawach historycznych, etnograficznych i kulturalnych.

*

Długi okres swej historji przebyła Litwa w niewoli rosyjskiej pospołu i jednocześnie z Polską.

We wrześniu 1917 r. powstała pod opieką okupacyjnych władz niemieckich Taryba. Litwa została uznana „de jure" przez Mocarstwa Zachodnie w dniu 20 grudnia 1922 r. po zobowiązaniu się wobec nich do uznania klauzul Traktatu Wersalskiego, odnoszących się do międzynarodowego charakteru Niemna.

Pretensje do Wilna i Wileńszczyzny Litwa rości na mocy traktatu z Rosją z dnia 12 lipca 1920 r., zawartego w Moskwie.

Ale prawoznawcy litewscy zdają się nie wiedzieć, że przez zawarty w r. 1921 traktat z Polską Rosja zrzekła się ingerencji w stosunki państwowe między Polską i Litwą i pozostawiła ich regulowanie stronom interesowanym.

Stosunki między Litwą i Polską zaostrzyły się w roku 1920 w czasie wielkiej ofenzywy bolszewickiej, która dosięgła prawie murów Warszawy. Litwa nietylko nie sprzeciwiła się temu groźnemu najściu i nietylko nie zachowała neutralności, ale przeciwnie, popierała najazd na ziemie polskie. W tym czasie wynikły starcia między wojskami litewskiemi i polskiemi na ziemi suwalskiej, w rezultacie których nastąpiło zawieszenie broni dn. 7 października 1920 roku. Na akcie protokółującym to zawieszenie broni opiera dziś p. Waldemaras i jego koledzy w rządzie litewskim swoje pretensje do Wilna, dowodząc, że ustanowione wówczas granice obowiązywały i dotąd obowiązują. Jest to najpospolitsze krętactwo. Linja wykreślona w protokóle z dn. 7 października 1920 roku nie była żadną granicą, ale tylko linją, prowizoryczną, demarkacyjną, jak o tem świadczy poniższy dosłowny tekst art. 1 (lit. a):

> **„Il est établi entre l'armée polonaise et l'armée lithuanienne la ligue de demarcation suivante, laquelle ne présuge nullement des droits territoriaux d'aucune des parties contractantes".**

Było jeszcze inne uzasadnienie tego postąpienia. Art. 87 Traktatu Wersalskiego ustanowił, „że granice Polski będą ustalone przez sprzymierzone mocarstwa". Mocarstwa dokonały tego aktu dn. 15 marca 1923 roku, określając jednocześnie bardzo szczegółowo dzisiejsze granice Litwy i Polski. Litwa, rzecz prosta, nie była zadowoloną z tego rozstrzygnięcia i uroczyście przeciwko niemu zaprotestowała. Oświadczyła, że Polska „okupuje bezprawnie jej stolicę" i że odtąd znajduje się w stanie wojny z Polską. Rada Ambasadorów potraktowała ten wyskok *per non sunt*, a Polska przez lat kilka składała dowody cierpliwości



Prezydent Rzeczypospolitej prof. Ignacy Mościcki i marsz. Józef Piłsudski w otoczeniu przedstawicieli akredytowanych w Warszawie dyplomatów. Photo-Plat

nie reagując czynnie na „stan wojenny", nieznany dotąd w stosunkach międzynarodowych. Waldemaras i jego poprzednicy mieli w odwodzie argument, że Litwy ani § 87 Traktatu Wersalskiego, ani decyzja Rady Ambasadorów z 15 marca 1923 obowiązywać nie może, ponieważ ona nie należała do tych państw, które brały udział w konferencji pokojowej. Tak jest istotnie. Ale politycy litewscy, którzy się na ten argument powołują, nie pamiętają, albo też nie chcą pamiętać, co na jedno wychodzi, że przedstawiciele rządu litewskiego dwukrotnie uznawali prawo wielkich mocarstw do ustalenia granicy polsko-litewskiej. A mianowicie 13 stycznia 1922 delegat litewski p. Sidzikauskas zwrócił się z prośbą do Rady Ligi Narodów, aby ta zażądała od mocarstw sprzymierzonych, iżby one ustaliły granice wschodnie Polski, zgodnie z art. 87 Tr. W.: *„fixation qui résoudrait en même temps le conflit polono-lithuanien"*.

Dn. 18 listopada tegoż roku minister spraw zagranicznych Litwy Galwanauskas zwrócił się do mocarstw, aby przyśpieszyły

> **„l'avenement de l'ère de paix en usant du droit que leur confère l'article 87 du traité de Versailes et en fixant les frontières orientales de la Pologne".**

Przekonawszy się, że Litwa w sprawie wileńskiej nic na tej drodze nie wskóra, p. Waldemaras wpadł na nadzwyczajny pomysł wniesienia skargi do Ligi Narodów (z art. 11) na Polskę, że „grozi wojną", na Polskę, która w ciągu tych lat kilku nigdy nie dała powodu do posądzania jej o chęć zakłócenia pokoju na szkodę Litwy, traktującej stale Polskę, jako państwo, będące z nią w stanie wojny i odpowiednio do tego prowadzącej swoją politykę. Rząd polski nie wniósł kontrskargi, choć miał tysiące do tego powodów i nawet nie złożył żadnej deklaracji do Ligi Narodów. Ograniczył się do rozesłania objaśniającego okólnika do państw należących do Ligi.

Uchwała Rady Ligi Narodów z dnia 10 grudnia zawiera następujące postulaty: Litwa zrzeka się „stanu wojny", a Polska przyrzeka nie godzić w niepodległość i terytorjalną integralność Litwy. (Nawiasem mówiąc, powtarzała to niejednokrotnie). Skargi na złe traktowanie litwinów w Wileńszczyźnie będą rozpatrzone w łonie Rady przez Komitet Trzech. Wrazie obawy o zatargi graniczne, Sekretarjat Ligi ofiaruje swoje *bonnes offices.* Wkońcu dodano czterowiersz:

> **„La présente resolution n'affecte en rien les questions sur lesquelles les deux gouvernements ont des vues divergentes".**

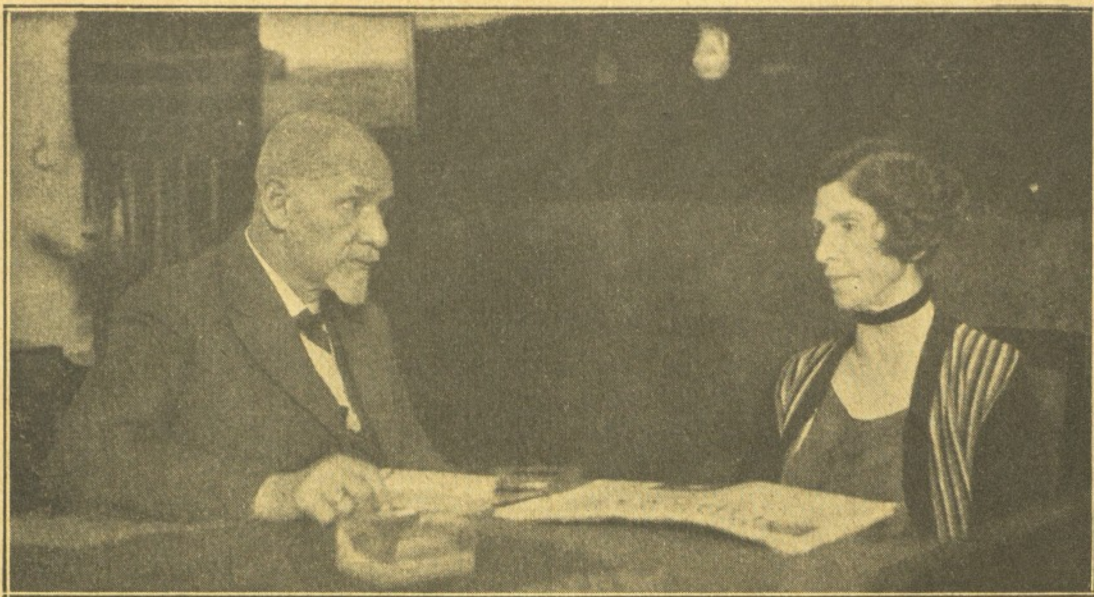
Na ten ustęp rzucił się premjer litewski, jako na nieoczekiwaną zdobycz. Według niego jest to nietylko niewątpliwa aluzja do Wilna, ale i przekreślenie przez Ligę decyzji Rady Ambasadorów z d. 15 marca r. b., ustalającej granicę Polski na Wschodzie.

Ale myśli podobne nie mogły leżeć w intencji autora rezolucji. Liga Narodów nie jest instancją kasacyjną dla Rady Ambasadorów i nie może kasować jej uchwał. Wreszcie wedle art. 80 Traktatu Wersalskiego tylko jedna Austrja podlega kompetencji Ligi w razie zmian w swym niepodległym ustroju.

Dla premjera litewskiego jednak, zaufanego w protekcję możnych sąsiadów, nie istniały żadne względy, ani skrupuły. W jego pojęciu sprawa wileńska została w Genewie rozstrzygnięta. Uznał ją za niezbitą podstawę swojego programu, gdyż mu chodzi o zaspokojenie sweich i państwowych ambicji. Powrócił do Kowna jako rzekomy tryumfator i zmagnetyzował wszystkie stronnictwa litewskie wpojeniem przekonania, że Litwa nie dopuści do żadnych poważnych rokowań politycznych, dopóki Wilno nie zostanie Litwie przyznane?....

Nawet poważny i zazwyczaj bardzo ostrożny organ polskiego ministerstwa spr. zagr. określił postępowanie rządu litewskiego jako „szantaż". Mamy wszakże pewność, że kierownictwo naszej polityki zagranicznej nie dopuści, aby z tego szantażu wynikła choćby najmniejsza krzywda dla państwa polskiego.

E. P.



Stanisław i Jadwiga Przybyszewscy na kilka dni przed wyjazdem do Jaront w mieszkaniu swojem na Zamku warszawskim.

Inspiratorka dwóch poetów

Złote struny nawiązał między niebem i ziemią, by śpiewać jej miłość, Stanisław Przybyszewski. Ginący świat uczuł w sercu Jan Kasprowicz, gdy nieszczęsny los sprawił, iż opuściła jego „walący się dom". Wszystkie poematy jego zamykają w sobie tragiczną wieść o niej, Jadwidze z Gąsowskich Przybyszewskiej, której doczesne szczątki pochowano w dniu 27 grudnia r. b. na cmentarzu Krakowskim.

Życie jej wplotło się w krąg inspiracji poetyckiej dwóch niepospolitych artystów słowa. Kim była ta niewiasta? J. Kasprowicz spoczywa na cmentarzu zakopiańskim. Niewiele go przeżył i Stanisław Przybyszewski, przyjaciel od dzieciństwa a później groźny współzawodnik o szczęście. Kir osnuł ich pamięć. Mówi jednak za nich ich dzieło. Będzie niem żywić się przyszłość nasza, nie pamiętając, że wiele z tych słów krwią tętniących, ukrzyżowanych cierpieniem, przepojonych radością i nadzieją zasiała w duszę tych artystów skromna, urodziwa blondynka o regularnych rysach twarzy, niewielkiego wzrostu, raczej wątła, zawsze dziwnie skupiona a ofiarna. Życie jej było przecież poświęceniem. Nie zaznała nigdy dostatków. Tak w małżeństwie z Kasprowiczem, jak i z Przybyszewskim borykała się ciężko z codzienną troską. Nie upadała jednak na duchu. Dom jej ubogi zawsze promieniował ładem wewnętrznym. Niełatwa to była rzecz utrzymać tę spoistość: Kasprowicz nie gardził winem, a Przybyszewski tembardziej.

Gdy była żoną J. Kasprowicza, niedostatek nie opuszczał ich szczęśliwego wtedy domostwa. Poeta ledwie przepychał się przez życie. Musiał w dziennikach robić „przegląd prasy", pisać w prasie lwowskiej o stosunkach politycznych, kulturalnych i literackich w zaborze pruskim. I cóż za to otrzymywał? Nędzne, austrjackie halerze, za które niezawsze można było na czas opłacić komorne. Wśród tego niedostatku czuł się jednak poeta szczęśliwy ze swoją błękitnooką żoną. Dała mu dwie śliczne córki...

Gdy J. Kasprowiczowi zaczęło się powodzić materjalnie lepiej, już była związana z niedolą artystyczną twórcy „synagogi Szatana". Jak wielką była rozpacz Kasprowicza, mówią o tem najlepiej jego potężne hymny, zrodzone z tego cierpienia.

Czyż uległszy fatalności losu i związawszy się z Przybyszewskim, osiągnęła przez to spokój, dostatek, sposobność do łatwiejszego życia? Znów wplotła swoje życie w straszne koło udręki i codziennej troski.

Niełatwa to rzecz być żoną artysty i to tak egotycznego, jak Stanisław Przybyszewski. A jednak w Monachjum, Poznaniu, Gdańsku, jak i w Warszawie nie odstępowała go ani na chwilę, czujnie współpracując z nim, dzieląc trudy artystycznych powodzeń i niezadowoleń. Przybyszewski był w swojej pracy bardzo ekskluzywny. Miesiące całe nie brał pióra do ręki. Przerwy te wypełniała ś. p. Jadwiga Przybyszewska przekładami, w ten sposób ratując budżet skromnego domu.

Wdzięczny artysta kładł na wszystkich pracach, powstałych pod jej auspicjami, dedykacje. Godzinami przepisywała jego skrypty, dyskutowała w obronie racji artystycznych czy społecznych, była niestrudzona w pomocy przy odczytach. Wytężała wszystkie swe siły i pomysłowość, by okryć biedę....

Lata wojny dały się im we znaki. Z czegóż mógł żyć wtedy pisarz? Nadomiar Przybyszewski był chory. Gdy dano mu posadę na poczcie w Poznaniu po powstaniu Państwa Polskiego, przyszły spokojniejsze dni. Trzeba było wtedy widzieć ich mieszkanie pełne obrazów, książek, kilimów. Było zaciszne, przyjemne. Urządziła je p. Jadwiga Przybyszewska z niczego, bo jak tu się meblować, gdy ledwie starczyło na chleb powszedni. Gdyby nie ona — napewno nie miałby Przybyszewski tego miłego otoczenia, w jakiem przebywał.

Po przeniesieniu się do Warszawy życie zaczęło się układać w jakieś dalsze perspektywy, choć i teraz nie brakowało zmartwień. St. Przybyszewski otrzymał emeryturę państwową i skromne mieszkanie na Zamku. Choroba czyniła jednak wielkie postępy. Miesiącami chorował. Ledwie latem czuł się lepiej i zabierał się do pracy. W te lata powstały dwa dramaty, z których „Mściciel" odniósł sukces na deskach teatru Narodowego. Wtedy napisał też Przybyszewski swoje wspomnienia „Wśród obcych" i utrwalił swoje przeżycia „Wśród swoich", których druk rozpoczynamy w numerze bieżącym.

We wszystkich tych pracach współczynną była ś. p. Jadwiga Przybyszewska. Czuwała nad twórcą „Dla szczęścia" do ostatniej chwili. Gdy była już niepotrzebną swemu małżonkowi — poszła w jego ślady. Przeżyła go zaledwie o dni kilkanaście.

Śmierć jej wywołała głęboki żal wśród przyjaciół. Była przecież inspiratorką dwóch wielkich naszych pisarzy. Życie jej związało się na zawsze z dorobkiem naszej literatury ostatnich lat czterdziestu.

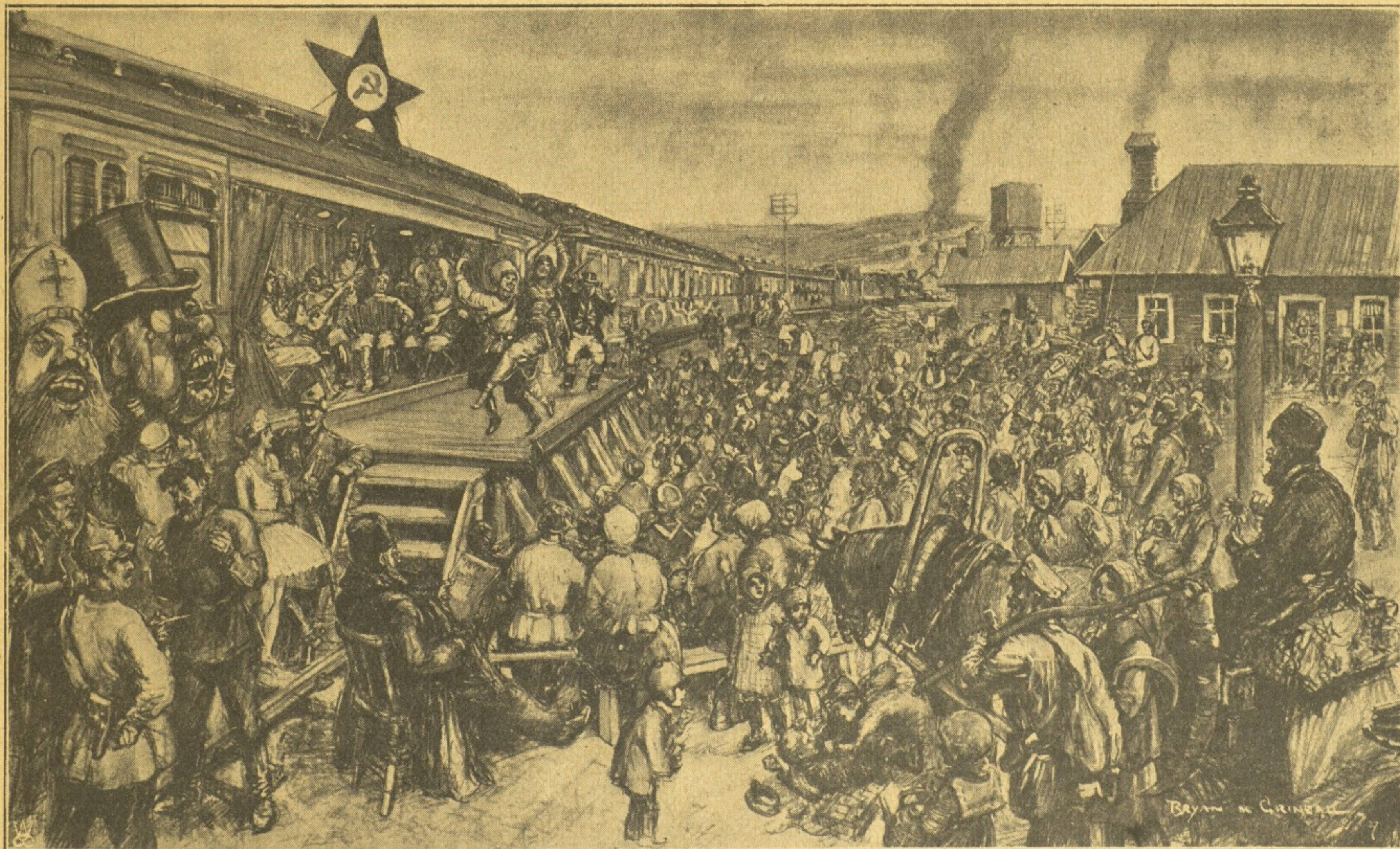
F.



PROPAGANDA BOLSZEWICKA WŚRÓD REKRUTÓW I CHŁOPÓW



Rekruci rosjanie oprócz zwykłych ćwiczeń wojskowych odbywają studja ideowe. Specjalny komisarz trenuje ich w nauce programu społecznego i politycznego komunistów. Czerwony żołnierz w ten sposób jest przygotowywany do walki z burżuazyjną Europą.



Pociąg propagandowy bolszewicki, na małej stacyjce we Wshodniej Rosji, agituje chłopów i kozaków przeciw Anglikom i innym burżujom

Nasza nowa powieść:

„NIEDOBRA MIŁOŚĆ"

Czytelnicy naszego pisma pamiętają zajmującą powieść p. Zofji Nałkowskiej p. t. „Romans Teresy Hennert". Drukowaliśmy też liczne nowele tej autorki. Każdy jej utwór utrwalał się w pamięci przez subtelność obserwacji, powściągliwość słowa i żywotność w stosunku do nurtujących duszę współczesną zagadnień. Zofja Nałkowska posiada wrażliwość intelektualną, niezwykłą. Niema pytania społecznego, uczuciowego czy religijnego, które by nie pokazała w opowiadaniach swoich. Jest też ona najsubtelniejszą znawczynią duszy ko-



Zofja Nałkowska

biecej. Jak bogatą jest galerja jej typów kobiecych ! Jak zróżnicowane są psychicznie, umysłowo, moralnie!

Wielkiem powodzeniem i poczytnością cieszyła się i cieszy niedawno wydana powieść p.t. „Choucas". Nałkowska prześwietliła w niej „międzynarodowe" przypadkowe zbiorowisko ludzi w jakimś szwajcarskim kurorcie. Pod piórem jej powstała współczująca, zajmująca, docierająca do głębin opowieść o tragedji tych kuracjuszów. W promieniu jej oczu nie ukryły się najdrobniejsze skazy ich dusz. Dotarła do bezwzględnej szczerości ich serc, nigdy jednak nie zraniła ich nawet nieopatrznym, mimowolnym osądem. Ten ciepły, dobry stosunek Nałkowskiej do otaczającego świata daje się też zauważyć w jej opowiadaniach o zwierzętach.

Nowa jej powieść p. t. „Niedobra miłość" pokaże nam znów serce kobiece rozkrzyżowane na drzewcu cierpienia, choć autorka nie pomija i obserwacji nad życiem naszem towarzyskiem i społecznem. Uwagi te są zupełnie tak samo cenne, jak i analizy psychiki serca kobiecego. Nie wątpimy, że nowa ta powieść p. Zofji Nałkowskiej będzie powitana przez naszych czytelników z zadowoleniem. Jest ona przecież najwybitniejszem piórem beletrystycznem nietylko wśród niewiast. Wdzięk jej narracji posiada już ustaloną, świetną, ponętną reputację.

Wygoda obywatela

W mroźny choć słoneczny zimowy poranek przed jedną z bram wąskiej ulicy Daniłowiczowskiej stoi długi ogonek ludzki, chuchający z zimna na ręce i przestępujący z nogi na nogę. Ogonek żółwi, sądząc z powolności, z którą posuwa się ku zbawczym drzwiom.

Wewnątrz lokalu dwu urzędników z przykładną powolnością, przerywaną rzeczowem a wyczerpującem strofowaniem cierpliwych interesantów, załatwia rezerwistów, zgłaszających zmiany adresów. Obok okienko z napisem „Meldunki oficerów" — i nikogo przed niem. Nikomu nie przyjdzie na myśl powiększyć ilość przyjmujących meldunki urzędników, przyśpieszyć tempo urzędowania, polecić funkcjonarjuszowi, nie mającemu nic do roboty, by pomógł swoim kolegom. Urząd jest urzędem, obywatel może czekać, niezależnie od tego, czy jest upał czy mróz.

I przed okienkiem w urzędzie pocztowym z napisem „listy polecone" ogon równie długi. Obok cały szereg okienek, do których rzadko tylko zgłasza się interesant. Gdy po dłuższem czekaniu doczekasz się swej kolei, to, o ile masz szczęście, otrzymasz z rąk urzędniczki marki, byś je sam na list w tłoku nalepił — ona sama nie raczy zniżyć się do tak poziomych czynności i załatwia już flegmatycznie twego następcę w ogonku. Jeśli zaś nie masz szczęścia, to okazuje się, że zwierzchniczka twoja z okienka marek nie posiada, a ty wobec tego zdegradowany zostajesz na ostatnie miejsce w ogonku, który czeka cierpliwie przed okienkiem sprzedającem znaczki pocztowe w sposób mniej lub bardziej niełaskawy. O automatach sprzedających marki i kartki korespondencyjne oczywiście niema mowy.

Wprowadzono w Warszawie liczniki telefoniczne, ustawiono automaty. Dobrze. Ale na to, by módz korzystać z automatu telefonicznego, trzeba mieć trzy pięciogroszówki. Zabrakło pięciogroszówek. Wkrótce podniesie się ich cena rynkowa, będzie na nie pasek, tylko dlatego, że nie pomyślano o specjalnych markach, które możnaby nabywać w większych nawet ewentualnie ilościach, nie magazynując miedziaków w kieszeni.

Do rozdziału „poczta" jeszcze jedno wspomnienie i uwaga. Otrzymuję czek, aby zapłacić jakiś tam podatek. Oczywiście dany urząd nie zadał sobie tyle trudu, aby dany czek wypełnić. Czynię to więc sam mozolnie na głównej poczcie, przy pomocy narzędzia, które raczej przypomina broń podręczną naszych przodków jaskiniowych, niż dosyć powszechnie używany obecnie instrument, zwący się piórem. Potem staję przed okienkiem z przeliczonemi pieniędzmi i oczekuję objawów wdzięczności ze strony reprezentantki władz, których nakaz tak sumiennie wypełniam. „Proszę o legitymację", odzywa się oschle urzędniczka. „Na co legitymacja? — dziwię się— wszak to ja wpłacam, a nie odbieram pieniądze. Czy nie wolno mi w dowód wdzięczności zapłacić za kogoś podatku lub na święta ofiarować skarbowi państwa — tak sobie, bez powodu, z własnej nieprzymuszonej woli — naprzykład 50 zł?"—„Nie wiem. Proszę się nie spierać. Taki przepis. Jeżeli się pan nie wylegitymuje, to ja nie przyjmę pieniędzy" — odzywa się władza z okienka. Legitymuję się, poczem dopiero dostępuję tej łaski, że raczą przyjąć odemnie pieniądze.

Do pociągu — nawet pośpiesznego na głównej linji — radzę usilnie wsiąść w masce założonej na całą twarz i w rękawicach. Ręka, która się dotknie jakiegokolwiek przedmiotu, staje się lepka od brudu. Firanki od roku czy dłużej nie prane, kanapy i poduszki nie trzepane. Czynność „czyszczenia" wozów odbywa się w sposób błyskawiczny, można by rzec — symboliczny.

Taki jest naogół stosunek przedsiębiorstw państwowych do podatnika. Jak się sprawy przedstawiają w przedsiębiorstwach prywatnych?

Konieczność zamieszkania w hotelu przyprawia mnie o tremę i trwogę. W warszawskim hotelu portjer — o ile nie masz na sobie sobolowego futra, takiej samej czapy i 10 potężnych waliz —spogląda na ciebie tak, jakbyś zamordował jego babkę i miał zamiar dać nogę przy najbliższej okazji, ograbiwszy uprzednio hotel i wypróżniwszy jego kasę. Zwyczajem nigdzie indziej na świecie nie praktykowanym musisz w zastaw oddać paszport, aby w ten sposób choć w części uśmierzyć otaczającą cię wszędzie nieufność. Za maksimum niechęci otrzymujesz nierzadko maksimum niewygody.

W pensjonatach — oczywiście dopuszczam we wszystkich tych wypadkach bardzo liczne wyjątki, na które ja jednak w czasie mej nie tak krótkiej ziemskiej peregrynacji natrafiałem dość rzadko — rzeczy przedstawiają się tak samo, z dodatkiem jeszcze elementu swojskiej niedbałości i opieszałości ze strony służby i niechęci organicznej ze strony współmieszkańców (pensjonatowa wojna wszystkich przeciw wszystkim — temat wielokrotnie opracowywany w polskiem powieściо—i dramato - pisarstwie. Nie jestem więc odosobniony w tej kwestji).

Są to wszystko przykrości i udręki drobne, codzienne, mało znaczące. Zgoda. Ale swoją częstością, powszechnością niemal zatruwają życie tej najniższej kategorji obywateli, tych, którzy płacą, aby zato coś otrzymać. Za cenę zazwyczaj dość wygórowaną — po pokonaniu możliwie wielkich trudności — dostają towar w ilości możliwie jaknajbardziej skąpej i w gatunku możliwie lichym.

I dlatego, proszę państwa, polski podatnik i polski konsument — w najskromniejszem i najbardziej obszernem tego słowa znaczeniu — jest w kraju zazwyczaj w możliwie złym humorze i odgraża się heroicznie, że wyjedzie zagranicę, by znaleźć to, czego niema u nas— dbałość o wygodę obywatela i wogóle każdej płacącej jednostki.

Wyjechałbyś — gdyby nie paszporty i urzędy, które je wystawiają.

Taki morał tego może jednostronnego aktu oskarżenia. Trudno, od czasu do czasu trzeba sobie pozwolić na odegranie roli prokuratora. To daje upust nagromadzonej żółci, polepsza humor i apetyt. Na krótko.

Lwów *Włodzimierz Jampolski*



Oazy i miasta algierskie

Z bliskich wycieczek z Algieru najciekawsze są Les Gorges de la Chiffa. Jest to piękny wąwóz z wodospadem, do którego z gór przychodzą kąpać się i pić małpy... także w tym celu, aby z rąk turystów najeść się. W górach mają mało pożywienia. Zjawiają się w porze obiadowej tłumnie w restauracji, skaczą, biją się między sobą, natarczywie szarpią za ubrania gości restauracyjnych, żebrząc o jedzenie. Nie boją się ludzi, bo nie wolno ich ani łapać ani zabijać.

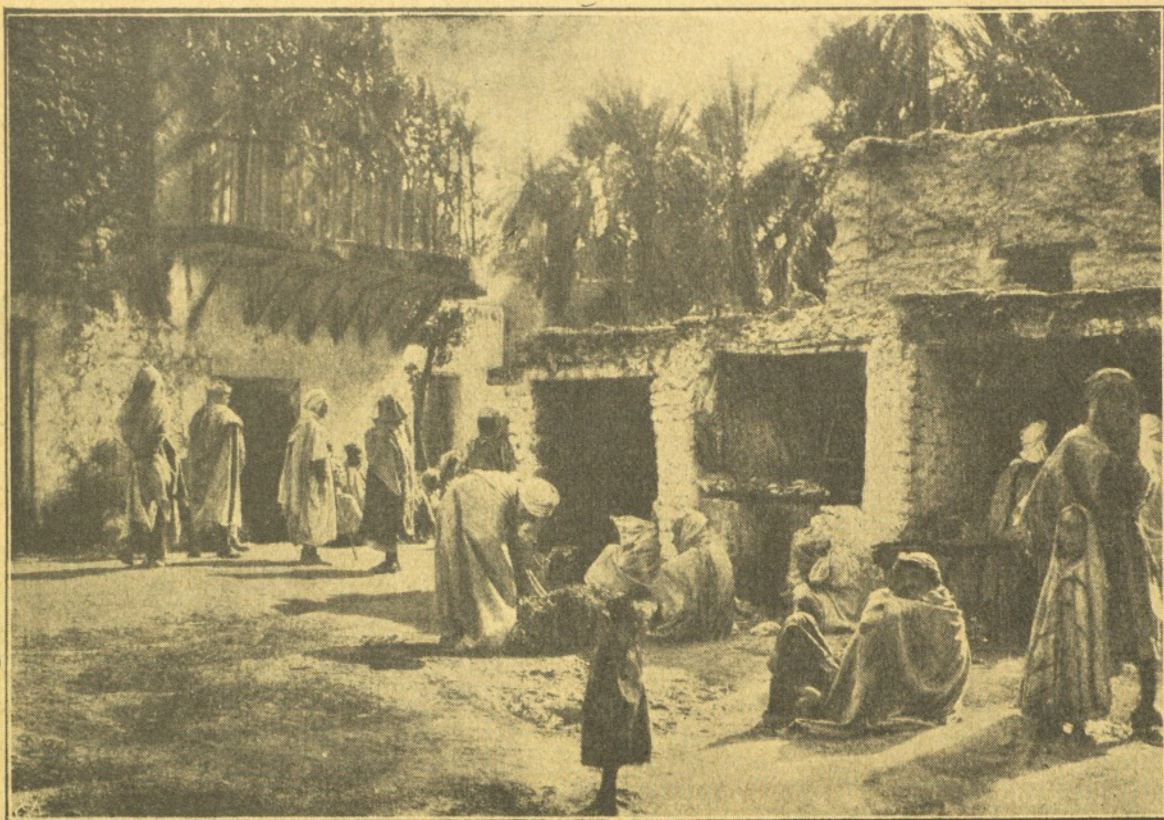
Prawdziwą jednak Afryką są dopiero oazy. Pierwszą z nich na granicy Sahary jest Bou - Saada. Dojeżdża się tam świetną szosą, która przez ostatnich kilkadziesiąt kilometrów biegnie już wskroś kamienistą pustynię.

Współczesny automobil spotyka się w drodze z karawaną tak pierwotną, jak za czasów, gdy noga europejczyka na ziemi algierskiej jeszcze nie postała. Ciągną długim sznurem ciężko objuczone wielbłądy; na innych, pod baldachimami kołyszą sie bogatsi członkowie karawany. Poganiacze w brudnych burnusach biegną pobok. Gnają olbrzymie stada baranów, które stanowią jedno z bogactw Algierji. Spotyka się i pojedyńczych ludzi, jadących spokojnie na osiołkach. Sama oaza składa sie z dwóch części: z właściwej oazy, t. j. olbrzymiego lasu palmowego, sztucznie irygowanego, i z miasta, które obok oazy wyrosło. Bou - Saada jest miastem zupełnie arabskiem. Otoczona murem obronnym, bez europejskich domów, prawie bez europejskich mieszkańców, oaza sławi się wyrobami kutemi ze szlachetnych metali oraz dywanami i samodziałami, które nieraz przypominają motywy łowickie. Praca męska odbywa sę przed domem, na ulicy. W domu pracują jedyne kobiety, dzierzgając na krosnach dywany i tkaniny.

Z Bou - Saady przez kamienną monotonną, a w końcu i piaszczystą pustynię, starym szlakiem karawan prowadzi już nie szosa, lecz droga zwyczajna do drugiej, większej znacznie oazy, Biskry. Biskra w zimie jest modną miejscowością. Są tu już europejskie hotele, elektryczność, komfort. Obok jednak wre swoistem życiem miasto arabskie, gwarne i brudne; jego urokiem są zewsząd strzelające palmy i mocny zapach kwitnących oleandrów. W dzień miasto to śpi, budzi się dopiero pod wieczór. Kawiarnie, w których kobiety pod monotonny dźwięk tamtamów popisują się tańcem brzucha, są przepełnione. Pełno jest i tam, gdzie derwisze w obłędnym tańcu kręcą się wkółko, przekłuwają sobie policzki szpilkami, łykają ogień, bawią się jadowitemi skorpionami. W innych kawiarniach drą się gramofony. Arab, śpiący dzień cały, bawi się nocą. Parę kroków dalej—



W pustyni



Sidi — Okba



Biskra

milcząca oaza, z dziesiątkami tysięcy palmowych drzew, a za nią nieskończone piaski pustyni.

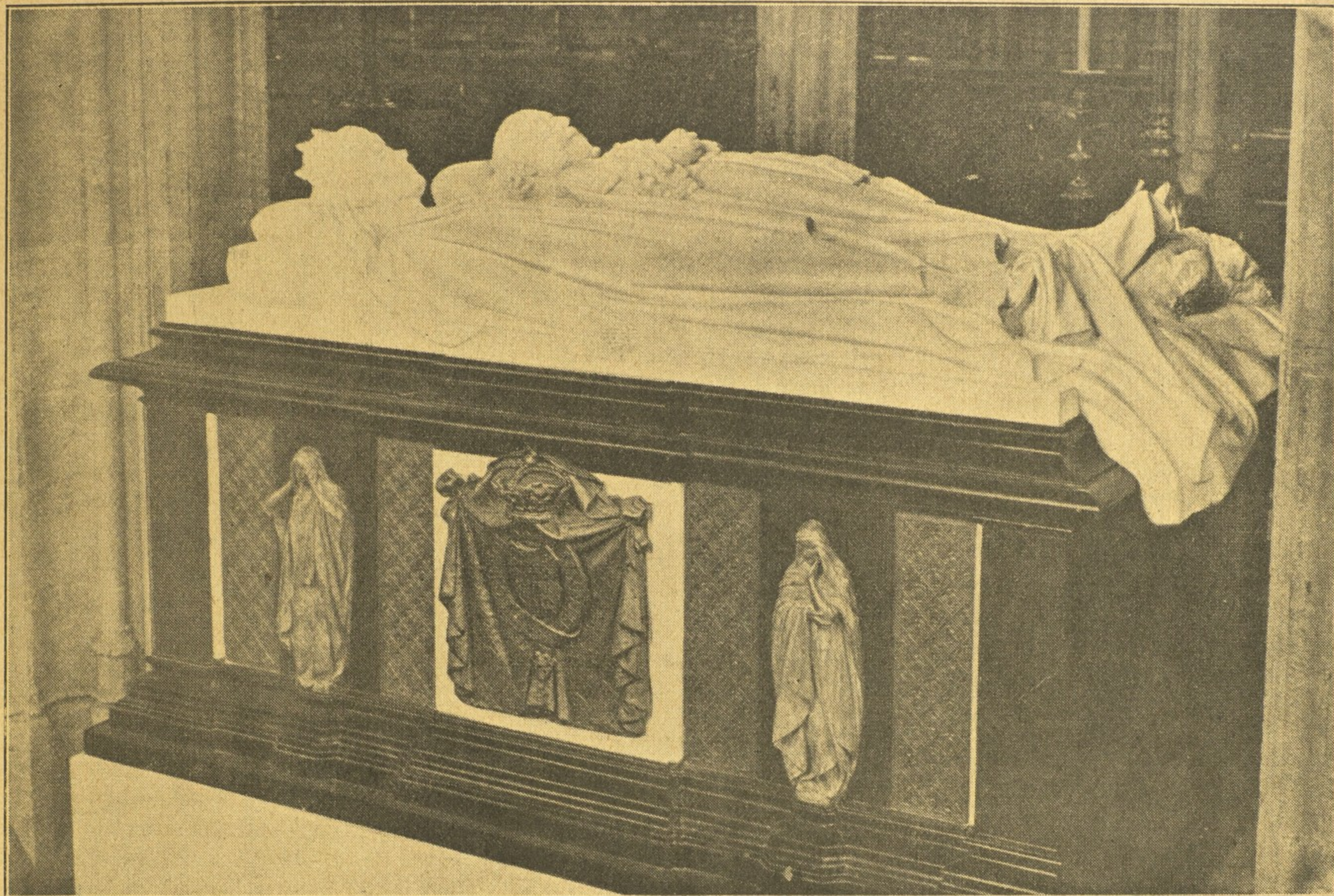
Na ziemi algierskiej powstały liczne pamiątki rzymskie. W Cherchell są ruiny teatru i łaźni. Rzeźby zgromadzono w muzeum. Przed restauracją sterczą samotnie dwie kolumny, pamiętające Juljusza Cezara. Słynne są ruiny rzymskie w Tipazie. W ostatnich latach odkopano stare miasto rzymskie Timgad. Miasto to, zbudowane przez żołnierzy Trajana, imponuje swą wspaniałością. Bruk kamienny, ruiny budowli publicznych i gmachów prywatnych zadziwiają rozmachem i wielkością.

Wieczne słońce, przepiękna milcząca przyroda — jakiż to szczęśliwy kraj dla ospałych arabów! Leżą gnuśni godzinami całemi na matach, zawinięci w białe powłóczyste szaty, senni, jak gdyby pogrążeni w marzeniach. Czy się kiedy zbudzą do życia? Dziś w tym raju ziemskim rzeczywistość jest smutna... Biedne, brudne gliniane chatki bez okien, wąskie, niebrukowane ulice, miljardy much, na które nie zwraca się uwagi, żuki, jaszczurki, węże, skorpiony... Bieda, złe zarobki (5 fr. fr. dziennie, a o pracę niełatwo). Prawie połowa ludności jest chora na oczy i na choroby skórne, dzieci brudne, wynędzniałe. Kultura francuska jeszcze tutaj nie dosięgła, choć obok garnizon wojskowy, klasztor, koleje....

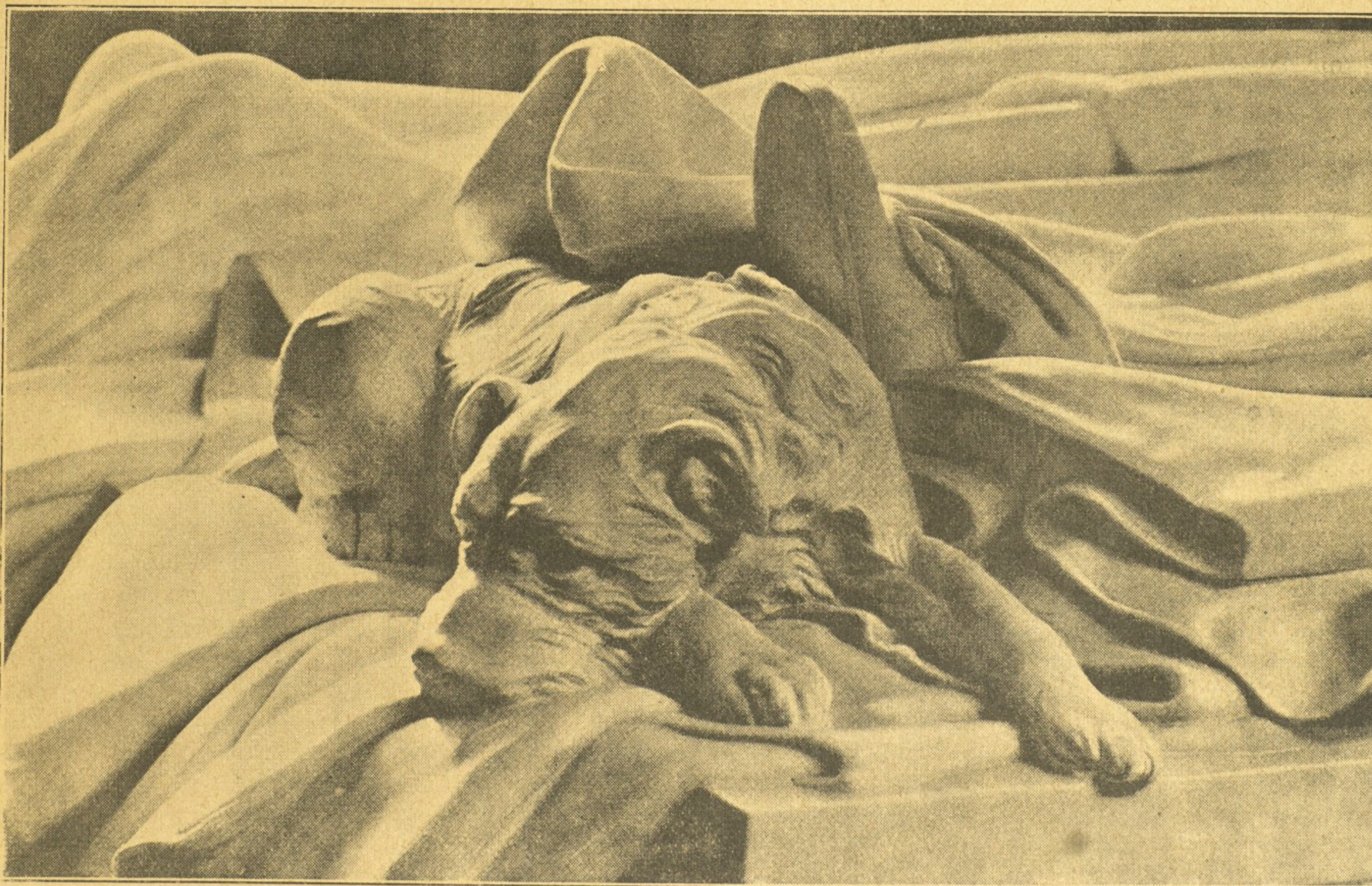
Piękny, romantyczny, uśpiony, a zarazem smutny, smutny kraj.

Izabella Poznańska.

PIES-FAWORYT NA GROBOWCU KRÓLA EDWARDA VII



Grobowiec króla Edwarda VII w kaplicy św. Jerzego w Windsorze



Podobizna psa terriera „Cezara" na grobie króla Edwarda. Grobowiec ten jest dziełem znakomitego angielskiego rzeźbiarza, Sir Bertrama Mackennal

Elegje Stefana Żeromskiego

Mroźny, wietrzny dzień listopadowy. Pierwszy śnieg pokrył płyty mogilne, kopczyki, pomniki. Nad ciemną, stalową dużą trumną zebrała się garść inteligencji warszawskiej, trochę literatów, kilku przygodnych przechodniów i kum z ulicy Młynarskiej, Żytniej, Karolkowej.

Ciszę cmentarzyka przerywa tupot nóg zziębniętych. Białe chryzantemy chwieją się na mroźnym wietrze. Fotograf prasowy krząta się nad ustawieniem aparatu. Garstka przygodnie zebranych ludzi, składająca ostatni hołd pamięci twórcy „Dumy o hetmanie", spogląda na wrota cmentarne. Wszyscy czekają na przybycie rodziny.

Białe chyzantemy, przed chwilą puszyste, więdną na mrozie. Ciemna, stalowa trumna, kryjąca zwłoki najmocarniejszego z prozaików polskich, nareszcie uniosła się ku górze. Wzięli ją na ręce powołani i niepowołani spadkobiercy królewskiego słowa. Wygłoszono przemówienia. Trumnę opuszczono do mogiły, tym razem własnej, i murarze zaczęli stukać młotkami, szurać kielniami. Powoli nad mogiłą zrobiło się pusto.

Tylko mróz i wiatr chodzą po małym cmentarzyku, gdzie złożono na wieczny sen doczesne szczątki Stefana Żeromskiego.

Dobrze i to, że choć teraz dostał własną mogiłę. Może nad nią stanie bezdomny Bandos, opuszczony przez los i sumienie ludzkie? Może przyjdzie tu Judym, zbłądzi Nienaski, zaduma się Niepołomski?

Nieliczne było grono ludzi zebranych nad trumną twórcy Elegji w ten mroźny, listopadowy dzień, gdy składano ją do grobu na wieczny odpoczynek. Tak było to niedawno. Jeszcze słychać jeremiaszowy głos „Przedwiośnia". Czyżby zwątpieniem były jego słowa:

„Nadaremna jest praca artystv, by w plemię ludzkie tchnąć prawdę, uniesienie bohatera i miłość!"...

*

Pietyzm i miłość dla piękna duchowego prozy Stefana Żeromskiego sprawiły, iż dano nam pojemny tom różnych zapomnianych, przygodnych, nieobjętych książkowemi wydaniami, pism tego mistrza słowa. Jest to jakgdyby głos zza grobu, przypomnienie prawd, które głosił. Żeromski, piewca niedoli ludzkiej, przyjaciel uciemiężonego człowieka, odważny obrońca wszelkiej krzywdy, rozwija przed nami znów swoje krwią serdeczną przepojone wizje doczesnej męki. Wystarczy wsłuchać się w światoburcze pytania „Magdaleny", by jak echo odpowiedziały nam wszystkie racje jego zadum. Suggestywne słowo płynie wzburzonym potokiem i szarpie sumieniem:

„Kto je wyrwie (płótno Ribery) ze zniewagi pobytu w skarbcu obłudników, którzy ślubowali doskonałe ubóstwo, a poślubili najbardziej wyrafinowaną rozkosz, najwyszukańszy sposób pożywania owoców męczeństwa ludu?"

Po zgonie Żeromskiego kogo stać na te pytania, wołające o sprawiedliwość? Kto umie skrzyżować broń o dostojeństwo duszy polskiej?

Człowiek ten nie waśnił. Stać go było na rzetelność wobec wszystkich. Przecież to on napisał:

„...Widzimy, że bezczynne fabryki w ciągu długich i długich miesięcy płacą rzeszom robotniczym część zarobku, jakgdyby były w ruchu. Domem rodzonym stał się szlachecki dwór, — gdzie jeszcze stoi —dla siół blizkich i dalekich. Daje schronienie, karmi, odziewa, leczy i ratuje bezdomne, w popłochu uchodzące zastępy".

Wzruszenie nas ogarnia przy odczytywaniu obrazków takich, jak „Wilga", „Wybieg instynktu", „Ewakuacja Krakowa", „Z dziennika", „Ach, gdybym kiedy dożył tej pociechy", „Elegja". Sześć tych drobnych opowiadań odsłania przed nami niezwykłą, artystyczną czujność wizji: spojrzenie przesycone miłością, tkliwością, czy humroem ani na chwilę nie spuszcza z widoku precyzji obserwacji. Precyzyjność daje nadzwyczajne rezultaty, przeradza się w ironję. Jakże zabawną jest scenka pod pierzyna: fakt nie wymaga komentarzy, jak bez komentarzy jest stosunek Żeromskiego do chłopstwa. Ile bogactwa, zwartości, a równocześnie głębi obserwacji daje on w tak drobnym, prawie nikłym obrazku, jak „Wilga"! Temat jest ubogi w motywy. Żeromski robi z niego pieścidełko, przepojone liryzmem własnej duszy, przesycone zachwytem dla pięknego, budzącego się poranka, uskrzydlone miłością dla „jedenastoletniej wygodnisi, przyjaciółki i specjalnej protektorki powsinogów, włóczykijów, ptaków, gadziny i płazów".

W książce tej znalazły się też „wspomnienia o współczesnych". Odzwierciadlają one szlachetną duchowość Żeromskiego. Z przyjemnością dowie się o tej stronie jego psychiki potomność, czytając słowa jego o Machajskim, Micińskim, Feldmanie, Abramowiczu, Wyspiańskim, H. Bukowskim. Żeromski pisał te swoje wspomnienia z potrzeby wdzięcznego serca. Jak to dobrze, że w słowie swojem zamknął na wieczną rzeczy pamiątkę życie i działalność M. Abramowicza! Kto z przyszłych pokoleń i skąd mógłby się dowiedzieć o ofiarnej jego pracy? Nie pchał się na świeczniki, wolna ojczyzna nie znalazła dla niego też krzyża „Polski odrodzonej", choć orderem tym zdobi swoją pierś już niejeden tajny przedwojenny polak. Żeromski utrwalił jednak prawdę niezbitą.

„On był najpierwszym z tych, co Moskali w Polsce niewolniczej bić zaczęli. On to był najpierwszym żołnierzem polskiej armji. On był najpierwszy duchem, wszczynającym wolność tej ziemi i głosicielem konieczności nadania praw nowych dla ludzi tej ziemi".

Na całość kompozycyjną „Elegji" składają się jeszcze prace objęte tytułami: „Artykuły literackie", „Odezwy w sprawach publicznych", „Varia", „Przedmowy do książek", „Fragmenty i inskrypcje". Książka ta dla miłośników twórczości Żeromskiego jest ostatnim kwiatem z wieńca jego nieprzemijającego dorobku. Wznieca ona i przypomina wizję „Wilgi", śpiewającej w cichy poranek, pełen czarodziejstw przyrody i duszy. Zapamiętać też każe ową łodygę naparstnicy, niewinnej a nadobnej, uśmierzającej „straszliwe serca męczarnie".

*

Już nie otrzymamy ze spuścizny pośmiertnej nowych, rewelacyjnych utworów, pióra twórcy „Snu o szpadzie". „Elegje" zamykają jakgdyby jego dorobek literacki. Warto jest jednak zapamiętać, iż w książce Stanisława Piołun-Noyszewskiego, zawierającej biografję Żeromskiego do dni zwycięstwa „Ludzi Bezdomnych", znajduje się wiązanka przedziwnych, czarodziejskich listów pisanych do narzeczonej. Tam też są i jego wiersze.

Nic jednak nie przekonywa tak do Żeromskiego człowieka, jak straszliwa notatka: ten wielki pisarz, nim dorobił się sławy, z głodu zapadł na tyfus. Gdy opuszczał więzienie, nie miał własnej koszuli. Mógł dumny gmach swojej sztuki dźwignąć tylko przez poświęcenie i miłość dla słowa, które w nim nurtowało.

Eustachy Czekalski

Z TYGODNIA

Wchodzimy w okres wyborczy. We wszystkich ugrupowaniach, które zamierzają stanąć na arenie do walki, zaczął się ruch przygotowawczy. Robią się porządki. Tu secesja, tam fuzja, to znów przymierze zaczepno - odporne... Wszędzie wołają o pieniądze, bo na wybory, jak na wojnę, potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy!

W prasie jeszcze cisza, — ta niesamowita cisza przed burzą. Drobne utarczki, oderwane wystrzały... Organizacje wyborcze jeszcze nie są ostatecznie skrystalizowane, umocnione. Lecz w atmosferze gromadzi się elektryczność. W nerwach obywateli już czuje się podniecenie. Jesteśmy jak pacjent, który musi poddać się szczepieniu surowicy: wie, że go gorączka nie minie.

Za kilka tygodni walczące zastępy zajmą pozycje i rozpocznie się huraganowy ogień. W powietrzu pękać będą bomby i granaty inwektyw, niżej pełzać będą trujące gazy insynuacji i oszczerstw. Uczciwi i spokojni obywatele zamienią się w opętańców, furja dosięgnie nawet zacnych i zrównoważonych niewiast.

Czegóż życzyć na ten okres kochanym rodakom?

Bromu! Dużo bromu!

. . . .

Już nieraz zwracano uwagę, że społeczeństwo nasze potrafi uczcić zasłużonego pisarza—dopiero po śmierci. Wyznaję, że na tych uroczystych pogrzebach, które odbywają się z przepychem skomplikowanego ceremonjału,—słuchając zwłaszcza pompatycznych przemówień, nie mogę się oprzeć uczuciu bolesnej goryczy: jakiż rozdźwięk między tą wspaniałością pośmiertnego obrzędu a życiem codziennem ostatnich dni, które było udziałem sławnego nieboszczyka!

Zgon Przybyszewskiego! Poruszyła się cała Polska. Telegramy kondolencyjne najwyższych dostojników państwowych, setki delegatów jadą z wieńcami na pogrzeb... A na biurku leży list, który Przybyszewski pisał do mnie przed samym wyjazdem na wieś, na dwa tygodnie przed śmiercią. Wahałem się, czy należy go ogłosić. Paru kolegów namawiało mię, by to uczynić. Spytałem panią Przybyszewską (było to przed jej wyjazdem do Krakowa, gdzie w kilka dni później zakończyła nagle życie). Powiedziała mi:

— Niech pan wydrukuje. Niech ogół wie, jakiem bywa życie pisarza polskiego, nawet jednego z najgłośniejszych.

Więc oto, jak brzmiał ów list:

Wielce Szanowny Panie,

Właśnie otrzymuję list, w którym znajomi mi państwo zapraszają nas — moją żonę i mnie — na wieś do swego majątku na Kujawach — miesiąc, jaki tam przebędziemy, stanie się dla nas ratunkiem w tej ciężkiej opresji finansowej, w jakiej się obecnie znajduję. Przedewszystkiem będę miał zupełną swobodę do pracy i zyskuję wogóle możność pracy, bo w tych ciężkich opałach finansowych, w jakich bezustannie żyję i które pochłaniają trzy czwarte mojej energji życiowej, ręce mi już opadają. Ale, aby móc wyjechać, muszę tu w Warszawie uporać się z zaległościami, na które już żadnej zwłoki znaleźć nie mogę — a najwyższy gwałt — bo „opisano" mi meble i grozi mi licytacja.

Więc wyrządzi mi Pan wielką, bardzo wielką przysługę, jeżeli mi Pan zechce dać jeszcze 200 (dwieście) złotych zaliczki — w sobotę, bo pragnąłbym już w niedzielę wyjechać — jak najprędzej, bo każdy dzień tu w Warszawie coraz więcej mnie obarcza, a wreszcie całkiem nie mógłbym się z niej ruszyć z obawy, że mi wszystko przepadnie, co zresztą nieraz mi się już zdarzało.

Mam lęk, że nadużywam dobroci życzliwości Pańskiej, ale nie mam nikogo, do kogobym się mógł zwrócić — a równocześnie wiem, że jak tylko będę mógł trochę odetchnąć i być bez troski chociaż jeden miesiąc, całkiem inaczej będę mógł pracować, jak w obecnych warunkach, kiedy chwili spokoju nie mam.

Oh! la sale corvée de la vie — ale trudno — żyć trzeba.

Wybacz mi Pan te moje rozgoryczone wynurzenie—bardzo rzadko mi się to zdarza — ale bywają chwile, że się w człowieku wszystko rozprzęga.

Jakbym ja był chętnie pozostał w Dyrekcji Kolei w Gdańsku, ale cóż — byłem już za stary i za zmęczony, by móc sześć godzin w biurze wysiedzieć.

Ale to wszystko tylko nawiasem — główna rzecz, bym mógł znaleźć spokój do pracy, a w tem mi Pan pomóc może zaliczką, o ile wogóle Pan jest w możności mi ją dać i na tyle mi zawierzyć, że udzielona mi pomoc—nie pójdzie à fond perdu...

Jak najrychlejszej odpowiedzi wyczekuję, z jak najgłębszym szacunkiem Panu oddany

Stanisław Przybyszewski.
5-go X.27.

Oczywiście natychmiast zawiadomiłem Przybyszewskiego, że zaliczkę każdej chwili może otrzymać. Zgłosił się nazajutrz, uściskał mnie ze wzruszeniem.

— Z trzystu kilkudziesięciu złotych pensji państwowej nie podobna się utrzymać. Zaś stan zdrowia utrudnia mi pracę, nie pozwala jeździć z odczytami...

— Oh!... La sale corvée de la vie! — dodał z gorzkim uśmiechem.

. . . .

Sylwester był bardziej huczny, niż wesoły. Warszawkę ogarnął szał zabawy, niewspółmierny ze środkami... Bo choć „jest lepiej", dla ludzi pracy życie nie przestało być nader ciężkiem. Drożyzna się wzmaga, dochody i zarobki nie zwiększają się wcale. Trzeba wracać do starego systemu stałej, bezustannej oszczędności, liczenia się z każdym wydatkiem. I to jest społecznie objaw najpomyślniejszy: tylko tą drogą bowiem każdy wybrnie z trudności, tylko własnym wysiłkiem pracy i oszczędności!

Ale Warszawka lubi się bawić. Na Sylwestra zostać w domu? Skandal! Miał się zpyszna nieszczęśnik, który z taką propozycją wystąpił wobec żony, córek! Obiad wigilijny spożywa się w domu, noc Sylwestrową nowy obyczaj każe spędzić na mieście, w lokalu publicznym. Wszystkie większe restauracje wystąpiły z szumnemi obietnicami niesłychanych radości, niespodzianek i upominków. Skończyło się przeważnie na słonych rachunkach, niekiedy tak przesolonych, że ten i ów obywatel przez długie tygodnie będzie miał zmartwienie z budżetem. Reduta literacka zgromadziła w Teatrze Wielkim ciżbę niebywałą i niewyszukaną. Intrygowano się dowcipami, które dawniej ledwo uchodziły „nad Wisłą", a żywsze alterkacje groziły nieopanowanemi rękoczynami. Dżentelmen nowej daty zaczepia obfitokształtną maskę. — Pani musi być gorąco! — Ona figlarnie: — Dlaczego? — Bo się pani bardzo poci! Dama obraziła się. — To pan zapomniał się w zeszłym



Reżyser Zygmunt Zaleski i kompozytor Henryk Opieński



Akt III. Wykonawcy: P.p. Lenczewska, Lubicz i Ferstenówna.

roku wykąpać. Odrazu to poczułam. — Ja pani napiszę w świadectwie: latawiec i wyszczekana!

Taką intrygę podsłuchał jeden z moich przyjaciół. Nie doczekał jednak końca; wymiana zdań stawała się tak podniecona, że wolał usunąć się w bezpieczniejsze miejsce.

W pierwszorzędnych restauracjach pojawił się na wszystkich nieomal stołach szampan. Nie żaden krakowski Palugyay, ale rzetelny, francuski. Kazano płacić po sto złotych — bez mała — za butelkę. Zastaw się, a postaw się! Tym, którzy płacili, musiał mniej smakować. Ale szyk! Raz w roku obchodzi się Sylwestra!

Tak bawiła się Warszawka.

skrz.

Obrazki moskiewskie

W „Annalach" paryskich p. A. Fabre-Luce kreśli swoje wrażenia z Moskwy. Po wyboistym bruku wielkiego miasta mkną samochody. Ani jednego prywatnego. Tylko rządowe. A w nich indywidua w czarnych, zapiętych kurtkach, nieszczególnie ogolone, o nieufnie świdrujących oczach. Plagą ulicy moskiewskiej są gromady zdziczałych, żebrzących dzieci. Oblegają natarczywie przechodnia, wdzierają się nawet do restauracji, nie odejdą od stolika, póki nie otrzymają datku. Ta masa dziatwy bezdomnej i bezrodzinnej stanowi świat, zamknięty w sobie, posiadający własne prawa, dyscyplinę, przyjemności. Kokaina jest tam w powszechnem użyciu. Choroby zakaźne grasują. Wszystko to umiera między 15 o 20-m rokiem życia: coby z tego wężowiska wyrosło!

Do przyjemności publicznych należą przedewszystkiem manifestacyjne pochody. Chorągwie, emblematy, tablice z gwałtownemi wezwaniami... Również uroczyste pogrzeby „ofiar rewolucji". Mają one podnosić ducha komunistycznego i szerzyć nienawiść do ustroju burżuazyjnego. Stałą propagandę w tym kierunku prowadzą z urzędu płatni agitatorzy, wygłaszający nieustanne mowy na placach i placykach. Czasem słucha ich garść przechodniów, czasem — gdy pogoda mniej pomyślna — nikt nie chce ich słuchać. Lecz oni powtarzają znudzonym głosem swoje kazania, pocieszają naród:

— Teraz nie jest dobrze, lecz niedługo będzie lepiej. Drożyzna się wzmogła, ale rząd rychło już obniży ceny. Liczba bezrobotnych zwiększyła się, nie jest to przecież winą Sowietów....

I tak dalej, i tak dalej... Nikt już na serjo nie bierze tych zapewnień, nikt nie śmie odezwać się z protestem.

Najbardziej ulubioną zabawą szerokich warstw komunistycznych jest niewątpliwie kinematograf. We wszystkich teatrach świetlnych co wieczór tłumy. Sowiety dbają uważnie o dobór obrazów. z zagranicznych dopuszczają tylko te, które cenzurze sowieckiej nie wydają się niebezpieczne; uprzywilejowaną jest wytwórczość własna, ideowa. Oto np. głośny obraz, zatytułowany: „Czterdziesty pierwszy". Bohaterką jego jest młoda rewolucjonistka, która własną ręką zamordowała 40 oficerów „białej gwardji". W czterdziestym pierwszym zakochała się bez pamięci. Walka uczucia z obowiązkiem. Obowiązek zwycięża. „Bohaterska" komunistka morduje ukochanego — czterdziestego pierwszego... We wszystkich obrazach krwawa walka z burżuazją, zwycięstwo rewolucyjnych robotników, pogrom ustroju kapitalistycznego.

W lecie odbywają się wyścigi konne. Funkcjonuje nawet totalizator. Lecz wszystkie konie należą do państwa, zainteresowanie publiczności jest małe. Przytem publiczność jest już tak szara, zgnębiona, wyczerpana! Tłum snuje się dookoła toru, nie bierze jednak żadnego czynniejszego udziału w igrzyskach, nie zdradza zgoła żywszego zainteresowania nawet w najciekawszych momentach.

Radość życia zniknęła bezpowrotnie.

g.

Drobiazgi teatralne

NOWE CZASOPISMO

Ukazał się pierwszy zeszyt dwutygodnika „Sztuka i praca", którego zadaniem ma być szerzenie zamiłowania do piękna wśród warstw robotniczych, ze szczególnem uwzględnieniem teatru. Pierwszy zeszyt, ozdobiony licznemi ilustracjami, tak pod względem doboru tytułów, jak pod względem graficznym przedstawia się bardzo zajmująco. Czy jednak poziom ogólny będzie dostępny dla tych warstw, dla których jest przeznaczony? That is the gucitium...

Przekłady

Zły przekład i niedbałe wydanie dobrej czy pięknej powieści cudzoziemskiej, to nieuczciwość wobec jej autora... Tych nieuczciwości w Polsce popełnia się wiele. Wydawcy-spekulanci nie mają pod tym względem żadnych skrupułów. Idzie im tylko o doraźny zysk.

Wpadły nam w ręce trzy tomiki powieści Jacka Londona p. t. „Bunt na Elsynorze". (nakład W. Jakowieckiego). Przekład, nad wyraz nieudolny, roi się od błędów gramatycznych; korekta niedbała; książczyny licho wydrukowane, źle zbroszurowane. Takie wydawnictwo krzywdzi twórcę, wydawcy nie przyniesie zaszczytu, a zarazem nasuwa myśl, że przydałaby się jakaś kontrola literacko-wydawnicza nad przekładami. Powinno się tem zająć Tow. Ochrony Praw Autorskich — skoro Związek Zawodowy Literatów Polskich dotychczas biura obrony praw autorskich nie potrafił zorganizować.



Dr. Hodża, minister oświaty, prof. Jarocki, dr. Grzybowski, p. min. Benesz



Prezydent T. G. Masaryk na wystawie

Nowe książki rumuńskie

Pamiętniki są obecnie modne w Rumunji, a zwłaszcza pamiętniki polityków i mężów stanu. W ostatnich tygodniach ukazały się pamiętniki dwóch ludzi, zasługujących na szczególną uwagę nietylko swoich, ale i zagranicy, a jeden z nich szczególniej na uwagę Polaków. Mówię o pamiętnikach znanego uczonego i historyka rumuńskiego, Titu (Tytusa) Majorescu i o pamiętnikach Aleksandra Marghiloman, słynnego dyplomaty rumuńskiego. Obaj byli germanofilami, przeciwstawiającymi masywną siłę Germanji wpływom francuskim i tradycjom francuskim. Obaj w chwili, gdy Niemcy zajęli Bukareszt, a wojska rumuńskie, walcząc z bohaterstwem rozpaczy, cofały się do Mołdawji, woleli pozostać z najeźdźcą i wrogiem ojczyzny, niż podążyć za prawowitym monarchą, który, zapomniawszy o swem pochodzeniu Hohenzollerna, pamiętał tylko o swych obowiązkach króla Rumunji. Ale Titu Majorescu nie grał prawie roli czynnej, był, jak przez całe swoje życie, uczonym i utopistą, kochał literaturę i kulturę niemiecką, co do których miał wiele złudzeń.

Inaczej rzecz się miała z Aleksandrem Marghiloman. Ten był zawsze i przedewszystkiem politykiem, żądnym władzy i zaszczytów. To też w jego „Note politice" (Notatki polityczne) przechodzi przed oczyma czytelnika, niby w kalejdoskopie, cały szereg wybitnych osobistości ze świata dyplomatycznego, wojskowego etc. etc. najróżnorodniejszych narodowości. Notatki owe, pisane prawie codziennie, pod wrażeniem chwili bieżącej, są cennym dokumentem historycznym, gdyż odzwierciadlają wybornie stan Rumunji podczas wojny 1914 — 1918 roku i następnie do 1924 r., t. j. do daty śmierci Aleksandra Marghiloman. Zaczynają się niby od r. 1897, ale właściwie od 1914 r. i traktują tak bezceremonjalnie wiele osobistości żyjących i wysoko postawionych, że natychmiast prawie po ukazaniu się uległy konfiskacie. Zbyt wiele hałasu narobiła dokoła nich krytyka oficjalna i nieoficjalna, to też momentalnie znikły z obiegu i z półek księgarskich.

Pięć dużych, ciężkich tomów wpół po francusku, wpół po rumuńsku. Przedewszystkiem początki wojny europejskiej, gdzie odrazu zarysowują się germanofilskie sympatje Aleksandra Marghiloman i jego przyjaciela, a jednocześnie dość zawistnego współzawodnika, senatora Carp. Obaj bardzo przywiązani do starego króla Karola, który od początku wojny pragnął połączyć się z Niemcami, ale zmuszony liczyć się z wolą narodu, jako monarcha konstytucyjny, nie mógł stanąć po stronie Niemców. Zawód ten i rozgoryczenie przyśpieszyły śmierć starego monarchy, a na miejscu jego stronnicy Prus widzą króla Ferdynanda I, wprawdzie Hohenzollerna, ale jakoś nie zdradzającego gwałtownych sympatji dla Berlina i Wiednia. Królowa, którą Marghiloman maluje dość złośliwie, jako przekwitającą piękność, bardzo pewną siebie, bardzo kapryśną i zmienną, nie tai swych sympatji dla Aljantów. Tymczasem lud się burzy, naród cały chce wojny i wielkiej Rumunji (Romania mare).

Królowa i jej otoczenie, Bratianu z partją liberalną oraz słynny frankofil i polonofil Take Jonescu wraz ze swą partją, prą również do wojny wszelkiemi siłami. Marghiloman łudzi się do ostatniej chwili, że król nie pójdzie przeciw Niemcom, a gdy wojna wybucha, wpada w oburzenie. Podług niego oszukano Niemców, którzy do ostatniej chwili wierzyli, że Rumunja nie odważy się iść przeciwko nim, bo „der Deutsche ist treu", jak go zapewnia marszałek Mackensen. I zaczyna się jakaś dziwna, straszna komedja, przypominająca kubek w kubek atmosferę na dworze Janusza Radziwiłła w „Potopie", tylko, że Marghiloman jednoczy w sobie dwa typy Radziwiłłów, Bogusława i Janusza. Chce się mimowolnie powtórzyć za Sienkiewiczem: jest coś potwornego, przerażającego w tej radości jednego z wysokich dostojników kraju na wieść o porażkach swych rodaków. A wszystko to pod skromnym woalem „pro publico bono", bardzo układnym, bardzo pełnym rezygnacji i samozaparcia się. Coś z Tartuffe'a i z Machiavell'a razem.

Nienawiść do Bratianu ma trochę powodów osobistych, gdyż pierwsza żona Marghilomana, księżniczka Eliza Stirbey, siostra osławionego Barbu Stirbey, porzuciła swego pierwszego męża dla Jonnela Bratianu, głowy rodziny Bratianu i partji liberalnej. W oczach Marghilomana Bratianu jest winien wszystkich nieszczęść, jakie spotykają Rumunję, on i jego partja myślą jedynie o własnych wygodach i korzyściach, zamiast mieć na celu dobro kraju.

Druga nienawiść Marghilomana to Take Jonescu, ale tu już nie czuć głuchej wściekłości, tylko prostą niechęć polityczną. Przeraża go frankofilizm i polonofilizm owego dyplomaty, bo Francuzi są dla niego zgubionym narodem, a Polacy wogóle czemś nieprawdopodobnem. Gdy generał Rozwadowski przyjeżdża do Bukaresztu z wolnej już Polski, Marghiloman notuje o nim ze zdziwieniem, że przedzierzgnął się w Polaka (il s'est uné en Polonais). Toż samo o Kozieł-Poklewskim, byłym pośle rosyjskim w Bukareszcie.

Bardzo żywo i ciekawie opisują notatki Marghilomana czasy panowania Niemców w Bukareszcie, biedę i rozpacz ludności, nie przestając przytem zapewniać, że choć położenie jest niezmiernie trudne, przecież Niemcy temu nie winni, a nawet jeśli krzywdzą Rumunów i w tem mają słuszność.

A na tem tle przesuwają się najróżnorodniejsze postacie, często doskonale scharakteryzowane przez samego Marghilomana, zwolennicy różnych partji, Niemcy, szpiegowie niemieccy, emisarjusze niemieccy etc. etc. Jest też kilka wybitnych epizodów, jak przyłączenie Bessarabji do Rumunji, lub pogrzeb Titu Majorescu. Naogół bardzo ciekawa i bardzo pouczająca książka.

Dr. M. Kasterska

Paryż

Echa literackie

Z NIEMIEC

NIECHAJ BĘDZIE SEZON!

Komisje wystaw, targów i propagandy ruchu turystycznego miasta Berlina złączyły się w wydział „Sezonu berlińskiego r. 1928" i postanowiły, że sezon ten ma trwać od połowy maja do połowy lipca. Sezon ma się składać z czterech okresów, z których każdy ma mieć specjalne swoje atrakcje, przedewszystkiem na polu teatru, opery i muzyki. Prace nad zorganizowaniem „sezonu" trwają w dalszym ciągu.

Niektóre pisma berlińskie sceptycznie traktują ten projekt. Bo albo miasto ma siłę atrakcyjną, a wtedy ma ją przez cały rok — dowodzą—albo jej nie posiada, a wtedy żadne specjalne organizacyjne pomysły nie pomogą. Teatry i muzyka — twierdzą dalej te pisma — stoją w Berlinie tak wysoko, że zbędną jest rzeczą myśleć o podniesieniu ich poziomu.

NARESZCIE „WIELKA PARADA"!

Nareszcie berlińczycy uzyskali sposobność oglądania wspaniałego filmu amerykańskiego wojennego „Wielka parada". Sfery nacjonalistyczne, gnieżdżące się w cenzurze filmowej i przemyśle filmowym, wszelkiemi siłami sprzeciwiały się wyświetleniu tego filmu, obawiając się jego pacyfistycznych tendencji. Zarządzono wreszcie głosowanie po próbnym pokazie dla literatów i krytyków. Ogromna większość oświadczyła się za wyświetleniem. „Wielka parada" ukazała się wreszcie — ale wcale energicznie pokiereszowana — i w jednem z mniejszych kin Berlina.

JEDEN KLEIST—CZY KLEISTÓW STU

Niemcy obchodzą w tym roku 150 rocznicę urodzin jednego z najznakomitszych swych dramatopisarzy, Henryka von Kleista, autora „Księcia Hamburga" „Katarzyny z Heilbronn", „Rozbitego dzbana" i t. d. W Wannsee pod Berlinem nad grobem Kleista, który tam wraz ze swą narzeczoną popełnił samobójstwo, zgromadzili się germaniści, wielki zaś obchód jubileuszowy odbył się we Frankfurcie nad Odrą. Okazało się jednak, że Niemcy czczą nie jednego Kleista, lecz conajmniej dziesięciu. Nacjonaliści powoływali się na udział pióra i miecza poety w walce z Napoleonem i rewindykowali go dla siebie. Prezes Akademji poetów Wilhelm von Scholz mówił o ideałach ogólnoludzkich w twórczości Kleista. Komuniści powoływali się na jego powieść o Michale Kohlhaasie, rewolucjoniście, występującym w obronie pokrzywdzonych. Srogie dysputy rozgorzały na te tematy w łonie licznej rodziny Kleistów, przeważnie urzędniczo-junkiersko - oficerskiej. Jubileusz był ożywiony, a nawet burzliwy.

NIEMIECKIE „DZIEJE GRZECHU"

Nowy dramat Gerharta Hauptmana „Dorotea Angermann", opowieść o upadku córki pastora ze stadjami niewinności, miłości „czystej" i „nieczystej", obrony kochanka i zagłady — pendant niejako do naszych „Dziejów grzechu" — przed wakacjami grany przez Reinhardta w Wiedniu, obecnie ukazał się w jego „Deutsches Theater" w Berlinie. Krytyka, nawet najżyczliwsza dla Hauptmanna, gani pobieżność i rozwlekłość sztuki przy niektórych znakomitych momentach i podnosi świetną grę Heleny Thimig w głównej roli.

Z CZECHOSŁOWACJI

INSTYTUT SŁOWIAŃSKI W PRADZE

Według zapowiedzi czsl. ministerstwa oświaty Hodży, jeszcze w tym roku otwarty zostanie Instytut Słowiański w Pradze, nad którego organizacją pracuje od kilku lat czsl. ministerstwo oświaty. Instytut słowiański połączony będzie narazie z Instytutem Orjentalistycznym. Na ten cel przeznaczono już odpowiednie fundusze w budżecie oprócz napływających hojnych darów publicznych. Instytuty rozporządzać będą olbrzymiemi bibljotekami i mają się stać centrem słowiańskiego życia intelektualnego. Mieścić się będą w pałacu Lobkowiców, zakupionym specjalnie na ten cel przez ministerstwo oświaty.

CZECHOSŁOWACKA PAŃSTWOWA NAGRODA LITERACKA

Co rok w dzień 28 października, w dzień narodowego święta czechosłowackiego, przyznaje czsl. ministerstwo oświaty kilka nagród literackich (oprócz artystycznych), wynoszących kilka tysięcy koron, za najlepsze utwory literackie z roku ubiegłego. Obecnie powstał zamiar ufundowania dużej nagrody literackiej (100.000 koron), którąby przyznano za zasługi, położone w dziedzinie literatury czeskiej i słowackiej w okresie 10-letnim.

PISARZE CZESCY O KRYZYSIE TEATRU

W niedawno założonem literackiem piśmie praskiem „Literaren Svet" otworzono ankietę nad przyczynami obecnego kryzysu teatralnego i możliwościami rozwoju teatru w przyszłości. W toczącej się dyskusji biorą udział najwybitniejsi przedstawiciele teatralnego życia czeskiego. Z dotąd ogłoszonych przyczynków do tej ankiety wynika, że czescy teatrologowie patrzą na obecny kryzys teatralny optymistycznie; jest on dla nich zjawiskiem tylko przejściowem, pokazują się już bowiem znaki poprawy, to też przyszłość należy znowu do teatru.

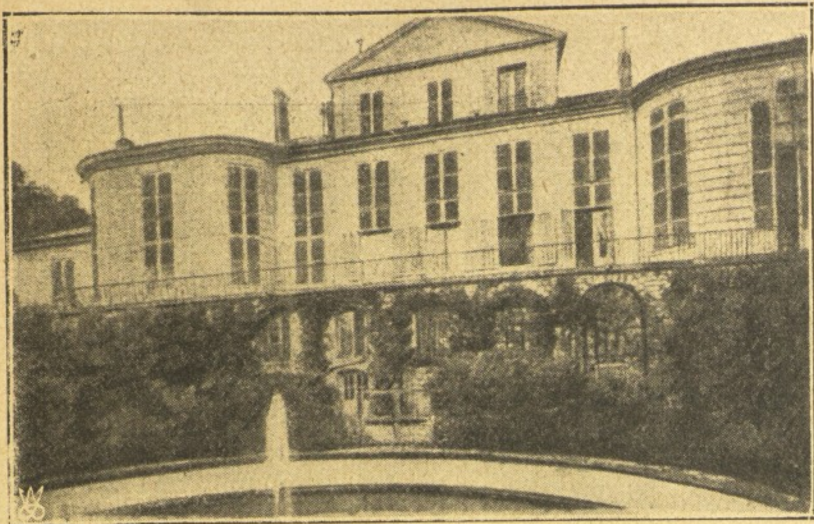
NOWY TOM WIERSZY J. S. MACHARA

Twórca czeskiej literackiej szkoły realistycznej *J. S. Machar* wydał nowy tom swych wierszy p. t. „Na krziżowatkach" (Na rozdrożu), obejmując wiersze autorów z lat 1914 — 1926. W czasach tych przechodził Machar rozmaite losy swego życia, co też odbiło się na treści wierszy tych. W porównaniu z dawniejszą twórczością Machara, wiersze te cechuje jeszcze większy pesymizm, niż w poprzednich jego dziełach.

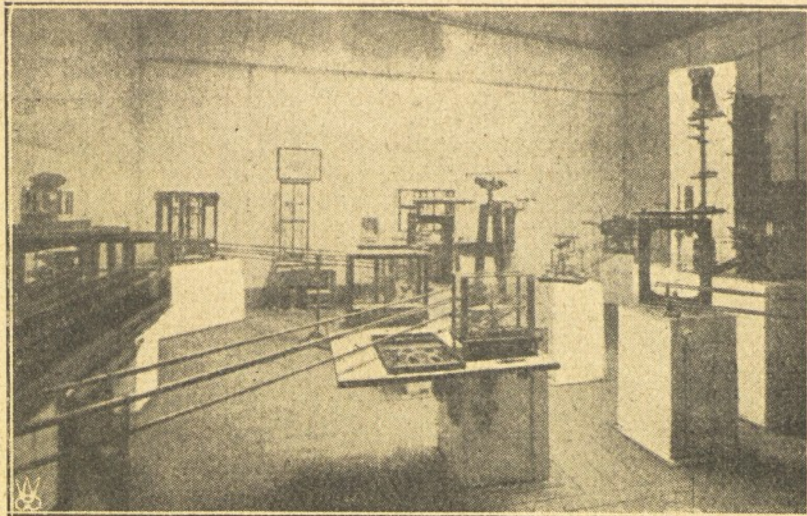
CZESKIE JUBILEUSZE LITERACKIE

Pięćdziesięcioletni jubileusz swego życia obchodził w początkach listopada czeski pisarz oraz dyrektor znanej również w Polsce praskiej ajencji teatralnej: „Centrum" *Fr. Khol*, obecny sekretarz czsl. związku literackiego. W literaturze czeskiej znany jest Khol jako wybitny nowelista, który wzbogacił literaturę czeską kilkoma dobremi tomami nowel. Oprócz tego zyskał on rozgłos jako sumienny badacz i znawca życia i dzieła Casanowy. W czeskiem życiu teatralnem odegrał też niemałą rolę jako literacki kierownik Teatru Narodowego. W Polsce liczy kilku dobrych przyjaciół, zwłaszcza wśród pisarzy dramatycznych.

Literacka krytyka czeska wspominała sześćdziesięciolecie jednego z najwybitniejszych swych przedstawicieli *J. Vodaka*. Vodak należy do krytyków literackich z naukowej szkoły Masaryka. Niezliczone są jego oceny wszystkich zjawisk kulturalnego życia czeskiego, umieszczone na łamach poważniejszych pism czeskich. Krytyki jego nacechowane są przestrzeganiem ścisłej metody filologicznej i niezwykłą sumiennością w wyszukiwaniu szczegółów, w których ogólna charakterystyka niknie.



Ogólny widok siedziby Międzyn. Biura Miar i Wag w Saint-Cloud, pod Paryżem



Sala wag. Na fotografji widać szereg długich prętów do manipulacji z odległości

MIĘDZYNARODOWE BIURO MIAR I WAG

(Notatka jubileuszowa)

Francja, a z nią cały świat cywilizowany, obchodzi a we wrześniu roku ubiegłego 50-lecie założenia Międzynarodowego Instytutu Miar i Wag. Nie od rzeczy będzie zapoznać szersze sfery publiczności z jedną z najciekawszych a mało znanych instytucji, będących na usługach badawczej myśli ludzkiej.

Wspomniany Instytut służy bowiem nietylko schroniskiem, strzegącem klasycznych wzorców metra i kilograma, ale mieści również owe zaciszne i oddalone od gwaru wielkomiejskiego laboratorja, gdzie najsubtelniejsze mózgi ludzkie pracują systematycznie nad ustawicznem doskonaleniem metod i przyrządów pomiarowych.

„Aei o Teos geometrei" mówi jedna z dewiz Instytutu, którą można czytać jako *motto* na wydawnictwach jego: *„Zawsze Bóg mierzy!"* I nigdy może wielka prawda nie została zawarta w równie ścisłej i krótkiej maksymie.

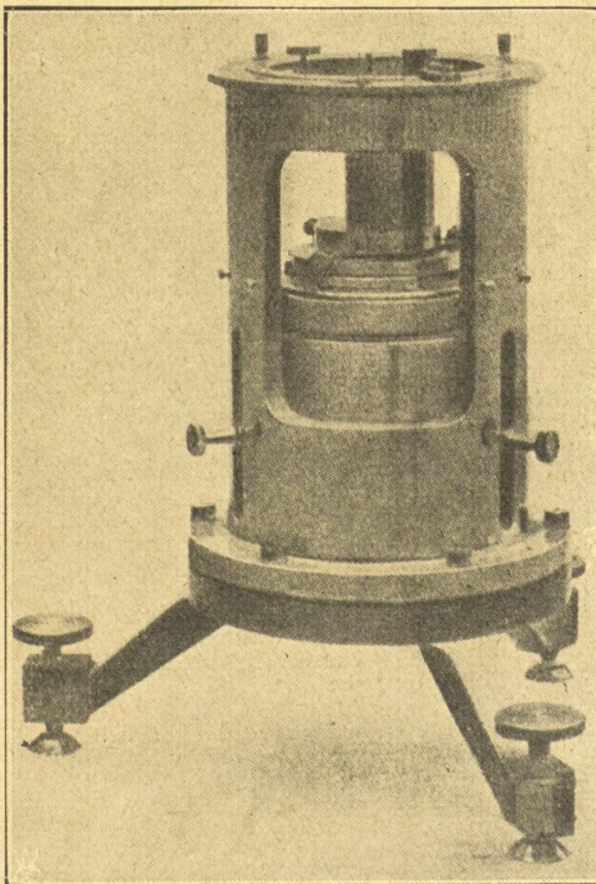
Cały bowiem wszechświat, począwszy od ruchu planet, a skończywszy na złożonej mechanice niewidzialnego dla oka atomu, jest wymierzony i obliczony. Udoskonalenie zawiłych i subtelnych metod pomiarowych wywiera nie tylko wpływ na dokładność tworów naszych rąk, ale jednocześnie wprowadza nas w nowe dziedziny nauki, zamknięte dla niedoskonałych i nieprzystosowanych zmysłów ludzkich.

W rzeczywistości w roku bieżącym upływają 52 lata od daty podpisania Konwencji Metra, czyli od stworzenia Instytutu. W dniu 4 października 1875 roku rząd francuski ofiarował Międzynarodowej Komisji Miar i Wag oddzielny budynek w Saint - Cloud pod Paryżem, t. zw. Pavillon de Breteil, w którym miały powstać biura i laboratorja nowej instytucji. W tym okresie wspomniany budynek przedstawiał widok opłakany, podczas bowiem oblężenia Paryża prusacy ustawili tu jedną ze swych baterji, która ostrzeliwała stolicę. Pierwszą zatem rzeczą było doprowadzenie budynku do należytego stanu, co zostało wykonane po dość długich perypetjach za cenę 400.000 frnaków. Wraz z zakupionemi przyrządami suma ta wzrosła do 550.000 złotych franków.

W związku ze swą przyszłą egzystencją pawilon Breteuil — ex - siedziba królewska i późniejsza rezydencja wielu rodzin arystokratycznych — został odpowiednio przerobiony. W roku 1878 wybudowano nowy korpus, mieszczący dziesięć sal laboratoryjnych i zawierający w swych podziemiach pomieszczenie, w którem przechowują się prototypy międzynarodowe metra i kilograma. Tutaj również umieszczono tak zwaną *bazę*, służącą do pomiarów drutów geodezyjnych. Budynek ten możnaby nazwać „świątynią dokładności". Przy pomocy mikroskopów odczytuje się tu pomiary długości, dokładne do jednej dziesięciotysiącznej części milimetra, i określa się masy z dokładnością do jednej tysiącznej miligrama. Przy podobnych pomiarach uwzględnia się nawet zmiany wymiarów ciał, spowodowane temperaturą, a wskazania ostatniej ulegają aż pięciokrotnym poprawkom, których celem jest wyeliminowanie błędów, związanych z samą istotą termometru.

W sali drugiej zwraca uwagę wymiarami i wyglądem maszyna zwana komparatorem uniwersalnym, i służąca do mierzenia długości, zawartych w granicach od 18 centymetrów do 2 metrów.

W następnej sali mieści się komparator różniczkowy, który odegrał ważną rolę w pracach Instytutu. Za pomocą tego przyrządu mierzy się różnicę długości przy ogrzewaniu prętów metalowych. Otrzymane w ten sposób rezultaty oddały ogromne usługi miernictwu i sztuce zegarmistrzowskiej.



Jeden z komparatorów do sprawdzania płaszczyzn metodą interferencji świetlnej

W sąsiedniej sali są ustawione jeszcze dwa komparatory, z których jeden, używany od lat pięćdziesięciu, nic nie stracił na swej dokładności.

Sala piąta jest salą wag. Dla laika jest może ona nabardziej „zrozumiałą". Tutaj znajdują się wagi o niezwykłej dokładności i czułości, nader skomplikowane w budowie. Odważanie ze ścisłością do jednej tysiącznej miligrama wymaga, poza umiejętnością, niezwykłej wprost zręczności. Najdrobniejsza napozór okoliczność, jak np. oddech operatora, wpływa na dokładność pomiaru. Dlatego też podobne operacje są prowadzone z odległości kilku metrów, za pomocą szeregu drążków i prętów. Z tej to sali wyszedł po długich i żmudnych pracach międzynarodowy wzorzec kilograma.

Szósta sala jest poświęcona pracom nad pomiarami przy pomocy interferencji promieni świetlnych.

Metoda ta była wprowadzona tu w roku 1892 przez znakomitego profesora Uniwersytetu Chicagoskiego, A. Michelsona. Ulepszona następnie przez uczonych francuskich, oddaje ona ogromne usługi nauce i pośrednio przemysłowi.

Nieliczny lecz doborowy personel Instytutu wykonywa nietylko normalne prace pomiarowe, stanowiące zakres jego działalności, ale prowadzi jednocześnie z własnej inicjatywy badania naukowe.

Do takich np. należą studja nad inwarem, metalem nieczułym na zmiany temperatury. Zastosowanie ostatniego w dziedzinie geodezji i zegarmistrzostwa jest właśnie zasługą Międzynarodowego Biura Miar i Wag.

Olbrzymie postępy nauki i techniki, zaznaczone w ostatnich latach, stwarzają nowe pole pracy dla Instytutu. Wspomnimy tu choćby pomiary elektryczne, — dziedzinę wprost niewyczerpalną, i zamierzane studja nad kwarcem.

Z tej krótkiej notatki czytelnik może już zrozumieć, jaką rolę w życiu cywilizowanych narodów odgrywa Instytut Miar i Wag. Znaczenie jego jest przeto należycie ocenione przez rządy państw kulturalnych

Liczba piętnastu krajów, które podpisały akt założenia Biura przed 52 laty, wzrosła obecnie do 31. Trzydzieści i jedno państwo łoży, proporcjonalnie do liczby swych mieszkańców, na utrzymanie tej ważnej placówki naukowej.

Polska jest w tej liczbie od roku 1926. Niezależnie od stałej dotacji Instytut o-

trzymuje od czasu do czasu większe sumy, od osób prywatnych, wielkich zakładów przemysłowych i t. p.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Nie należy bynajmniej identyfikować Międzynarodowego Biura Miar i Wag z pojęciem systemu metrycznego. Ostatni jest koncepcją czysto francuską i przytem zupełnie teoretyczną. Obecnie 54 kraje uważają ten system za obowiązujący. Pierwszym z nich była naturalnie Francja, która wprowadziła go u siebie dekretem z dnia 7 kwietnia 1795 roku. Ostatnim zaś — Afganistan (prawo z roku 1925). Wielka Brytanja np., która jest członkiem Biura Międzynarodowego Miar i Wag, nie używa systemu metrycznego. Portugalja znów wprowadziła ostatni do swych kolonji, nie używając go wewnątrz kraju.

Inż. Z. Kacprowski

KATASTROFA SAMOCHODOWA



Dnia 27 grudnia r. u. zginął tragiczną śmiercią w wypadku samochodowym ks. kanonik Antoni Kaim, rektor kościoła po-bernardyńskiego. Równocześnie znajdowali się w samochodzie ks. ks. Pogorzelski i Ożarowski. Ponieśli ciężkie obrażenia ciała. Zabity został również szofer Jastrzębski. Katastrofa wydarzyła się na szosie nadarzyńskiej za Kostowcem. Śmierć czcigodnego kapłana wywołała szczery żal wśród szerokich kół katolickich naszej stolicy

Fot. Marjan Fuks

Lekarz a znachor

— „Psychika chorego głęboko różni się od psychiki zdrowego człowieka. Można najkorniej schylić czoło przed potęgą nauki, ślepo wierzyć w postępy wiedzy lekarskiej, można w sądzie swym objektywnym cześć oddawać bezinteresownej pracy lekarzy i wynosić ponad niebiosa jej błogosławione owoce, a jednak w czasie choroby niejako zapomnieć o tem wszystkiem, ulegając potężnemu nad wszystko pragnieniu wyzdrowienia"...

....— Tem też chyba wytłomaczyć sobie można, że nawet wśród ludzi o wysokim poziomie wykształcenia i kultury — często znajdziemy takich, którzy w razie długotrwałej, wyczerpującej choroby nie wahają się porzucić lekarza dla znachora..."

I jeszcze:

— „Tłum lubi cuda. Bardziej niż zjawiska powszednie, choćby mało zrozumiałe, interesują go zdarzenia niezwykłe, rzadkie, efektowne".

Oto jak tłomaczy znany lekarz warszawski, dr. Maks. Flaum powodzenie „znachorów", operujących nietylko po zaściankach wiejskich i małych miasteczkach, ale i w stolicy Rzeczypospolitej.

— „Słyszymy tylko o chorych, którym znachor pomógł. Nigdy o tych, których nie wyleczył"!

A przecież tylko metoda statystyczna ostatecznie rozstrzyga o powodzeniu w lecznictwie.

Więc czemże się dzieje, że nawet ludzie inteligentni zwracają się czasem do owych cudotwórczych znachorów?

Dr Flaum objaśnia:

— „Lekarze często nie doceniają czynników psychicznych. Kłamstwo, którem świadomie czy bezwiednie posługuje się znachor, staje się jego doskonałym sprzymierzeńcem. Lekarz nie może przyrzekać, nie może tumanić.

...A jednak pospolite wyrzeczenie, że wiara uzdrawia, ma głębokie, doniosłe znaczenie. Lekarz, nie mogąc się oprzeć na wiedzy ścisłej, nazbyt często pomija ten skomplikowany aparat fizjologiczny, gdy tymczasem sprytny znachor potrafi wyzyskać go dla swoich i pacjenta celów".

Dr. Flaum nie chce zajmować się analizą środków leczniczych, jakiemi posługuje się znachor, przyznaje przecież:

— „O ile chodzi o zioła, stanowiące przeważną część składową „farmakopei" partaczy lekarskich, słuszność nakazuje przyznać, że medycyna współczesna zaniedbała nieco te leki od czasu, kiedy dzięki rozwojowi chemji docieramy do istotnych składników czynnych i wyodrębniamy je, jako właściwe środki lecznicze".

Omawiając niebezpieczeństwa, jakiemi grozi rozwielmożniające się znachorstwo, dr. Flaum dochodzi do wniosku, że w obronie chorego sprawa znachorstwa winna być wytoczona przed forum publiczne, a samo znachorstwo najsurowiej potępione. Wątpi jednak, czy będzie je można całkowicie usunąć.

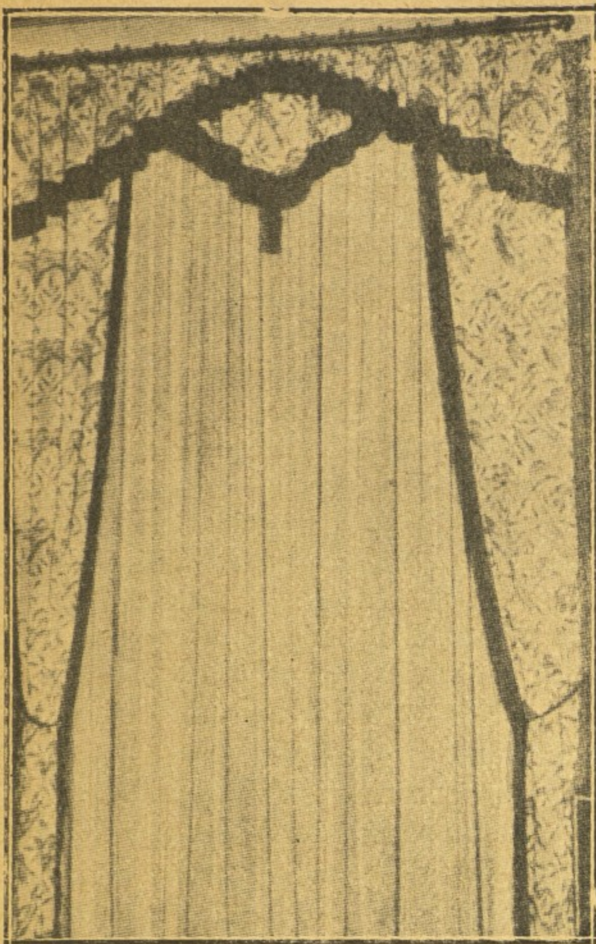
Albowiem:

„Co żyje, po wsze czasy starzeć się i umierać będzie. Ani młodości wiecznej, ani nieśmiertelności żadna nauka w darze ludzkości nie ześle. Gdyby nawet przypuścić, że większość t. zw. nieuleczalnych obecnie chorób zniknie, jeszcze objektem dla znachora podatnym będzie strudzony, wyczerpany, starzejący się organizm. A choć wiedza ludzka sięga szczytów najgórniejszych, choć wybiega poza wszelkie rozumienie nasze, właśnie przez to samo jest i będzie bezgraniczna. Lecz bezgraniczne jest, niestety, również zaślepienie ludzkie, naiwność, łatwowierność i głupota".

G.

OD ADMINISTRACJI

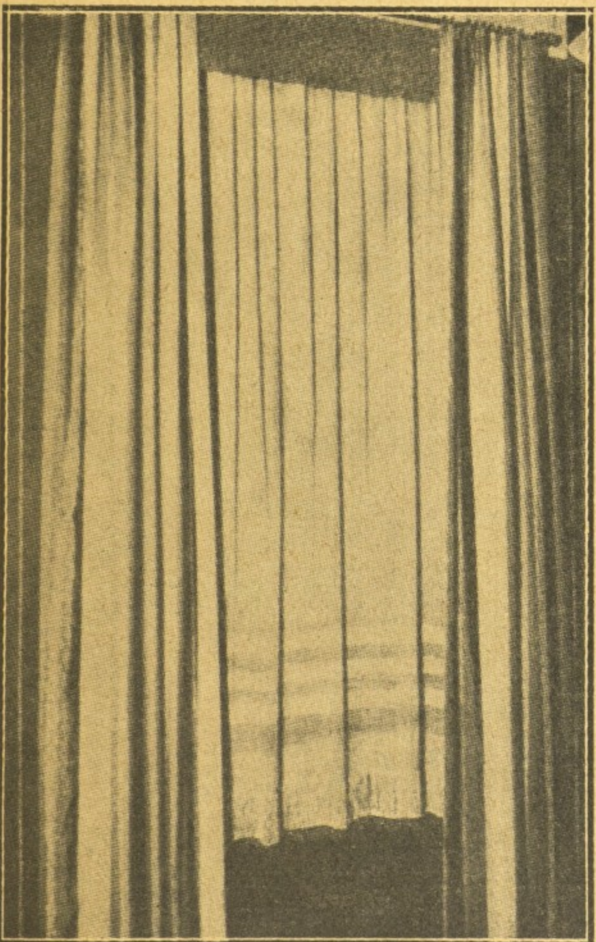
Wobec konieczności unormowania nakładu naszego wydawnictwa na rok bieżący, uprzejmie prosimy Szanownych PP. Prenumeratorów o jaknajśpieszniejsze przekazanie należności za miesiąc styczeń lub kwartał I-szy 1928 roku



Dekoracja okna z materjału lekkiego w desenie, firanka z gazy.

Zdobienie okien

Mieszkania nasze dalekie są od komfortu i estetyki wnętrz, w jakich żyją zachodnioeuropejscy nasi sąsiedzi. Zamożność, stara kultura, tradycja dobrego smaku sprawiają, iż dba się o wygląd mieszkania. U nas nawet ludzie zamożni mieszkają byle jak, otoczeni bezstylowością, tandetą lub niepotrzebnemi gratami. Inteligencję natomiast nie stać na urządzenie przyzwoitego mieszkania. Dobrze, że wogóle ma gdzie mieszkać.



Rozsuwana gardina z jedwabiu, firanka z koronki. Frendzle od dołu.

Przeważnie przecież gnieździ się w byle jakich pokoikach.

Wiele dobrego zdziałały kooperatywy mieszkaniowe. Zapewniły dach nad głową licznej rzeszy ludzi. Nie wyzyskano jednak należycie sposobności przy tworzeniu tych nowych osiedli. Wnętrza domostw przeważnie zapełniono starym, niesmacznym bric - à brac'iem. Nic w tem dziwnego. Urzędnika, nauczyciela, profesora nie stać na jaki taki komfort, nie mówiąc o estetyce.

Mamy szkoły sztuki stosowanej, nasza młodzież artystyczna uczy się urządzać wnętrza i po co? Przecież ten dział sztuki jest u nas jeszcze snem o dalekiej przyszłości. Nauka szkolna artystyczna niewielkie znajduje zastosowanie. Pracę w tym dziale ma zaledwie dwóch, trzech artystów. Jest to i tak wiele. Był czas, iż malarze ci czuli się zupełnie obco w naszem społeczeństwie.

Warto jednak informować nasz szeroki ogół o tem, co dzieje się w tych sprawach u narodów kulturalnych. Gdy się przegląda specjalne pisma angielskie, francuskie, niemieckie — olśniewa nas komfort, elegancja, estetyka mieszkań u tych narodów. Widzi się, ile troski, przemyślenia kładą w urządzenie przyjemnego mieszkania. Dbają o każdy szczegół, by zgodny był z przeznaczeniem, wygodą, a równocześnie upiększał wnętrze.

Ostatnio w pismach fachowych zagranicznych debatowano bardzo dużo na temat zdobienia okien. Wiemy, że przed niedawnem były bardzo modne ciężkie, gobelinowe, nawet dywanowe gardiny, firanki, draperje. Za zasadę przyjmowano wtedy, iż ozdoba okna winna być w ciemniejszym kolorze od barwy ścian. Wysadzano się na bogate, dekoracyjne, faidowane gardiny. Czem one były, pokazała praktyka.

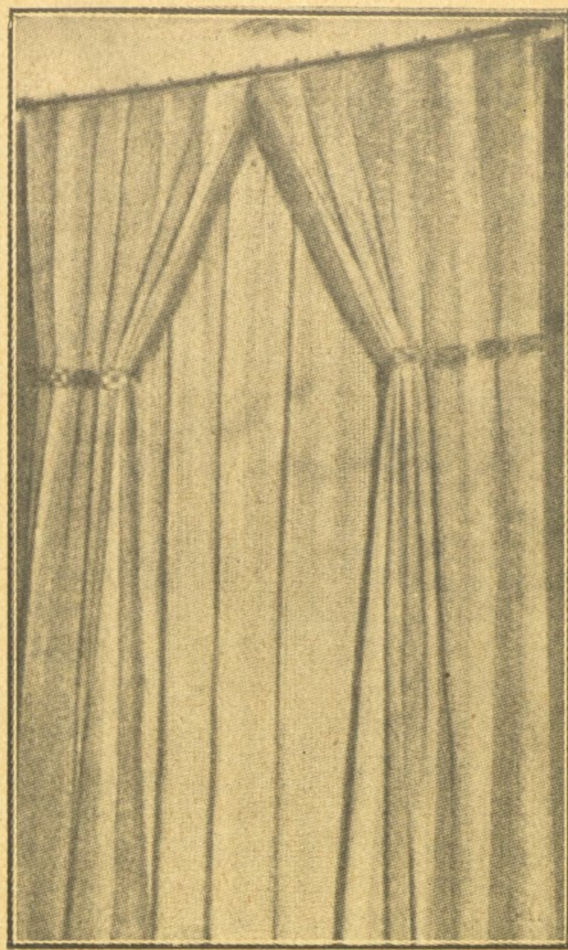
Jako ozdoba, posiadały swój poważny wdzięk. Były jednak bardzo niepraktyczne. Zabierały wiele światła. Gromadziły w swoich fałdach masy kurzu. Nie przepuszczały powietrza.

Mieszkanie musi w pierwszym rzędzie zawierać wiele światła i powietrza. Ciężkie te ozdoby były więc sprzeczne z hygieną. Wysunięto również inne względy. Grube tkaniny, jako ozdoba, często kłóciły się z meblami.

Artyści-zdobnicy wysunęli teraz inne zasady.

Zdobienie okien powinno być celowe tak w stosunku do hygjeny, jak i estetyki. Z tej racji należy używać tylko lekkich tkanin, któreby mogły być często prane. Barwa ozdoby okiennej musi być jaśniejsza od koloru ścian. Należy wybierać materjały łatwo przepuszczające światło i powietrze.

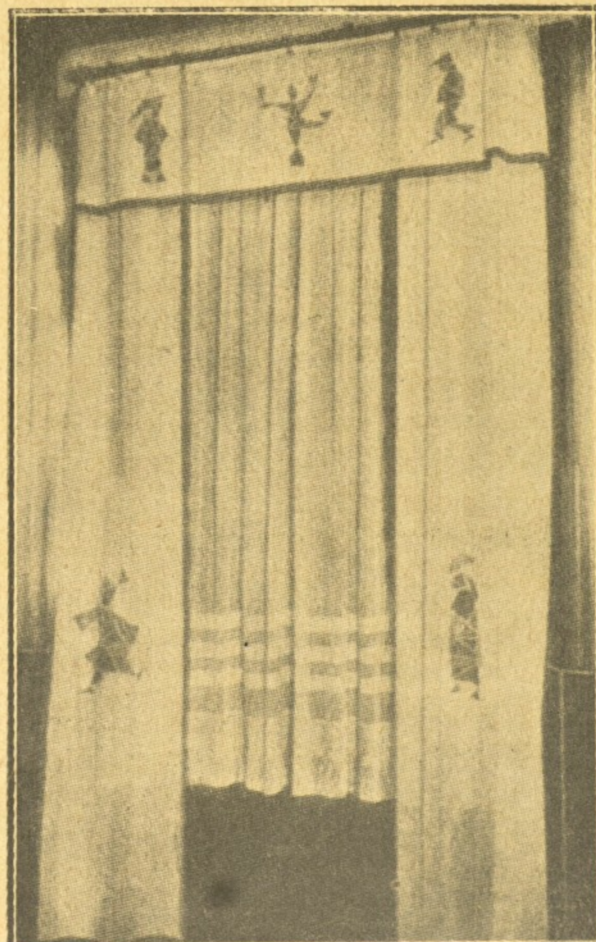
Odbyły się liczne pokazy-wystawy tych nowych sposobów zdobienia okien. Dały świetne rezultaty. Inteligentna publiczność przyklasnęła tej inowacji. Jest



Gardiny z jedwabiu, można zastosować i płócienko odpowiednie kolorowe, firanka z koronki.

ona ze wszechmiar pożyteczna. Lekkie tkaniny są i tańsze i wygodniejsze przy urządzaniu mieszkań. Na wystawach obok dekoracji okien koronkowych, bogatych pokazywano firanki z płócienek, perkalików; bardzo gustowne te firanki są tanie, dostępne dla jaknajszerszych warstw publiczności. Wszędzie przestrzegano jednak zasady, że firanka nie powinna zabierać światła i powietrza. Możeby i u nas zastosowano się w zdobieniu okien do tej zasady?

F.



Ozdobne markizy, firanka rozsuwana z tiulu z aplikacjami.

Ósme niebo narciarskie

Zły początek — Psychologja syzyfowego podejścia — Ekstaza — Duch mistrzyni — Cuda komedjowe tajemniczego powieściopisarza. — Uwiecznienie na tle ósmego nieba — 27°!

Olśniewające, oślepiające, zamraczające słońce! Blask śniegów rozlanych wszechpotężnie, jak kremowo - niebieski ocean! I mróz ścinający krew w żyłach, lecz nie imający się rozżarzonego lotnym pędem narciarza.

W amfiteatrze śnieżnych gór i narciarstwa spędza się tajemniczy w swej treści żywot, powiązany niewyjaśnionemi nićmi sympatji z „wielokształtnemi" przyjaźniami.

Nadchodzi zima z zapachem mrozu i smarów narciarskich i oto nie wiadomo dlaczego kilku ludzi „zżywa" się z sobą na parę miesięcy i pędzi, gna razem przez fosforyzujące śniegi w podejściach mozolnych i zjazdach oszałamiających, ku dziwnemu celowi wrażeń, przeżyć i emocji. Ileż dni pełnych przygód, drobiażdżków i wspomnień komponuje się w ciągu każdej zimy! Oto z radością, ochotą i weselem wypada z poza ośnieżonych izb góralskich gromadka narciarzy.

Na Gubałówkę!

Jeszcze śniegi w górach nie przykryły potężnych zwałów skalnych, zdradliwych kosówek i karkołomnych maliniaków. Jeszcze góry są niedostępne. Rozwścieczony głód narciarski zaspakaja poczciwa, obła, rozłożysta Gubałówka. Drzemią w słonecznej, mroźnej ciszy łagodne zbocza. Nietknięte jeszcze ostrzem nart, nieskazitelnie białe i dziewicze.

Śmignęła ze szczękiem nart i kijków garstka pielgrzymów śmiałych.

Obładowany plecakiem, aparatami fotograficznemi i ciężkiem mięsiwem kaset, zostaję nagle porwany na jakiejś nierówności staroświeckiej rojowskiej drogi i machnawszy pociesznie prawą nartą w powietrzu, rozkładam się na plecach, jak długi. Narta tymczasem „musnęła" delikatnie płotek ukryty w śniegu i skryła się w białym puchu. Wstaję. O zgrozo! Tylko pół narty! Ładny początek spaceru. A tu narciarki nasze kochane frunęły sobie koło mnie i już suną pod górę.

Wracam wtepędy i przekładam wiązanie do innych desek.

A tu nagle wraca drugi przedstawiciel męskiej tężyzny w naszej gromadce. Przejeżdżając potok, musnął tylko niedomarzniętą dokładnie zdradliwą powierzchnię i oto zamiast nart niesie w rękach dwa ciężkie, białe lodowce.

Potężny mróz w sekundę okrył deski twardym, jak żelazo, płaszczykiem lodowym. My tu poramy się ze sprzętem, a one tam już „połknęły" łagodne zbocze Symoskowej!



Narciarze na treningu w Zakopanem

Rozpoczyna się syzyfowa gonitwa.

Przeżywamy (każdy sobie) emocje twardego wysiłku na długiej Symoskowej. Tak musi porać się ze swoją wytrzymałością zawodnik, gdy zatrzymany na trasie przez jakąś przygodę, dogania z zaciętemi zębami tych, co go wyprzedzili.

Lecz każdy jego krok musi być o „pół tonu" szybszy. Nadrobić stracony czas. Ciężka, syzyfowa praca.

Lecz nas nie popędza groźba przegrania biegu. My jedziemy smakować narciarstwo z jego podejściami i zjazdami, delektując się tą rozkoszą pomału, bez gorączki wyścigowej, bez pogoni za sławą.

Uspokoiwszy oddech i tempo, doganiamy nasze narciarki i w morzu jarzących śniegów suniemy coraz wyżej. Jeszcze czarny pas smreków, które śnieg i okiść zamieniły w fantastyczne, leśne kaplice i złoty grzbiet Gubałówki już płonie nad nami na tle szafirowego nieba, bezdennego w swej zmrożonej, powietrznej otchłani.

Oto już nadszedł, tak dobrze znany i powtarzający się setki razy moment pejzażowej ekstazy, gdy oko ogarnia zastygniętą falę białych, opalizujących szczytów od Hawrania po Osobitą.

Hawrań, tatrzański „Fudżi-Jama", samotny, fantastyczny na wschodnim horyzoncie, trójkątna Osobita, brama na Zachód, niebieska, ostra, strażnica Orawskich Wrót

Ciszę przerywa nagle jakiś szmer z oddali.

Gdzieś daleko z poza białych habitów smreków wpłynął kołyszący się cień i sunie ku nam, znikając za gromadami smrekowych mnichów, rozpartych milcząco na tle nieba.

Widnokrąg cały płonie odblaskiem śniegu i słońca.

Szeleszczący cień zbliża się.

Coś znajomego w ruchach.

Wyciągam aparat z plecaka, sztywniejącemi rękami wykonywuję kilka błyskawicznych zabiegów fotograficznych.

Już jedzie! Patrzę w wizjer. Już mija białą piramidę smreka. Trzasnęła migawka. Teraz dopiero gonię wzrokiem za tym cieniem.

Poznaję. To przemknął „duch" narciarskiej mistrzyni Polski, Francji i Austrji!

Pani Loteczkowa wionęła przed nami w posuwistym locie treningowym.

Trenuje!

Czy może być wspanialszy trening?

Na tle tych widoków, w mroźnej, nieskończonej przestrzeni fal śnieżnych, w słońcu, które przyrównać chyba można tylko do jasności niebiańskich, sunie samotna narciarka. Ale wśród tych odurzających fanta-



Mistrzyni łyżwiarska Warszawy w pięknym łuku

styczności śniegów, nieba i gór nie czuje się samotności. Wszystko drga, mieni się światłami i kształtami feerycznemi. W takim nierealnym świecie odbywa się trening narciarski!

Przemknął koło nas cień mistrzyni i zginął wśród smreków.

Pomknęliśmy za nim, do „szałasu" Lasaka. Stoi sobie koło krzyża na Gubałówce „izbecka", wybudowana przez pomysłowego oryginała narciarza, który pędzi w niej samotny żywot, pojąc zziajanych wędrowców smakowitą herbatą i grzejąc ich zmarznięte nosy przy zabawnym malutkim piecyku.

Jesteśmy już u wrót boskiej karczmy narciarskiej, a tu nagle z głębi u naszych stóp wynurza się sam we własnej osobie St. Ign. Witkiewicz, zagadkowy autor „Pożegnania jesieni", w swoim fantastycznym berecie, tak dobrze wszystkim znanym, jak Tatry długie i szerokie.

„Góra z górą się nie zejdzie", ale zejdzie się człowiek z człowiekiem na szczycie Gubałówki!



Skok na nartach

Przed łakomem okiem aparatu fotograficznego „wyczynia" nam „Witkacy" wspaniałą scenkę groźnego zjazdu narciarskiego.

Chwytam ten cenny moment groteski witkiewiczowskiej, której tyle jest w jego obrazach i utworach, a potem „łapie" nas wszystkich błyskawicznem łyśnięciem migawki gospodarz - samotnik.

Czyż może być większa rozkosz!?

Być uwiecznionym na zawsze na tle takiego pejzażu, w „ósmem niebie" narciarskiem, którem jest w słoneczny zimowy dzień staroświecka Gubałówka! I jeszcze gdy się ma w dodatku perspektywę takich słodyczy niewysłowionych, jak zjazd z Sobiekowej! Przypinamy narty.

Już minęły beztroskie chwile sjesty narciarskiej w chatce Lassaka.

Przemknąwszy się, jak „duch" mistrzyni, przez posuwistą grań śmigamy w dolinę zakopiańską.

O, bądź pochwalony 27°-wy mrozie, który dałeś nam przeżyć ten feeryczny dzień!....

J. H. R.

WĘGIERSKIE GWIAZDY TEATRALNE



Ibi Banò, wdzięczna węgierska artystka komedjowa, występuje na scenach teatrów budapeszteńskich



Pizi Krupka, słynna budapeszteńska tancerka, występuje w królewskiej operze

ANEGDOTY

Zmarły niedawno znakomity pisarz angielski, Jerome K. Jerome, nie tracił nigdy humoru, z którego słynęły jego utwory. Pewnego razu zwichnął prawą rękę, a gdy zawezwany lekarz zapewniał go, że zwichnięcie nie jest groźne i nie budzi obaw, Jerome zapytał: „A czy po wyzdrowieniu będę mógł grać na fortepianie?" „Ma się rozumieć", brzmiała odpowiedź. „Jakże się cieszę! Jestem doprawdy uszczęśliwiony", zawołał Jerome. „Czyż pan istotnie obawiał się, że nie będzie już mógł grać?" „Nie, tylko dotychczas nigdy na fortepianie nie grałem".

*

Reynolds, jeden z wielkich mistrzów malarstwa angielskiego, malując portret pewnej damy z arystokracji, zauważył, że podczas pozowania dama zaciska kurczowo usta, które były istotnie niepomiernie duże. Artysta przez dłuższy czas nic nie mówił, wkońcu jednak, rozweselony daremnemi wysiłkami arystokratycznej modelki, zapytał z uśmiechem: „A gdybym tak spróbował zupełnie opuścić usta?"

*

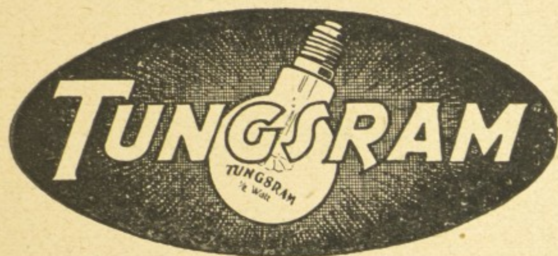
Fryderyk Lonsdale, znany dramaturg angielski, zaprosił przyjaciela do teatru na sztukę kolegi. Sztuka okazała się tak nudna, że przyjaciel po pierwszym akcie odezwał się: „No, teraz możemy iść, dłużej wytrzymać niepodobna". „Niemożliwe", odparł Lonsdale, „jesteśmy gośćmi, mamy bilety bezpłatne". W połowie aktu drugiego przyjaciel Lonsdale'a zaczął szukać kapelusza umieszczonego pod krzesłem. „Dokąd idziesz?" spytał Lonsdale. „Do kasy, zapłacić za bilet", brzmiała zirytowana odpowiedź.

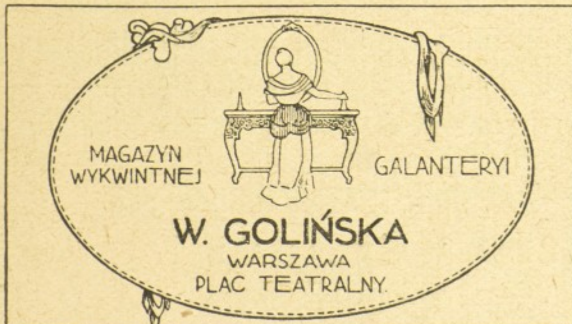
*

W knajpie literackiej w Monachjum siedział Wedekind, w gronie pisarzy i artystów, śród których był też aktor, głośny z przygód erotycznych i z tego, że nieustannie się niemi chwalił. Gdy wreszcie wyszedł, jeden z obecnych, zauważył: „Nieznośny człowiek! Nie przestaje się reklamować!" „Mój Boże", zauważył Wedekind, „Wszyscy inwalidzi mówią chętnie o swoich czynach wojennych".

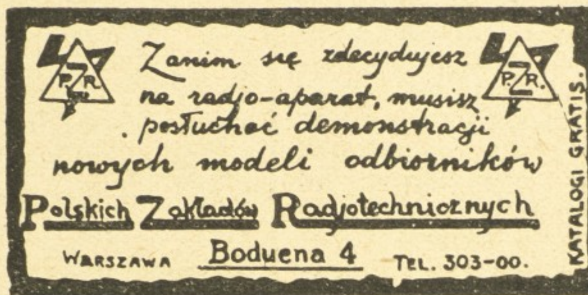
bn.











NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SPRAWY PAŃSTWOWE

Tradycyjne życzenia noworoczne na Zamku odbyły się ze zwykłym ceremonjałem. Ambasador Laroche zaznaczył, że Nowy Rok rozpoczyna się pod pomyślnemi auspicjami dla Polski.

Godło i barwy państwowe zostały ostatecznie ustalone dekretem p. Prezydenta Rzeczypospolitej. Zniknie nareszcie rażąca niejednolitość.

3 miljony dolarów w złocie przywiózł do Polski z Nowego Jorku parowiec „Polonia". Dobra prognoza noworoczna dla naszych finansów.

Odszkodowania dla ofiar wypadków majowych zostały przyznane ogłoszonem ostatnio rozporządzeniem p. Prezydenta Rzeczypospolitej.

Okres świąteczny wywołał zastój w ruchu przedwyborczym. Poza drobnemi utarczkami prasowemi nie zaszło nic godnego uwagi.

SPRAWY POLSKIE

32 więźniów polaków, z których 10 było skazanych na śmierć przez rozstrzelanie, wydają Polsce sowiety wzamian za 9 bolszewików.

Na forum Trybunału haskiego wszedł spór kolejarzy gdańskich z polskim zarządem kolejowym co do kompetencji sądów gdańskich w sprawach spornych.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Rokiem oczyszczenia atmosfery świata nazwał Briand rok bieżący, podkreślając zwłaszcza znaczenie zbliżenia francusko amerykańskiego dla pokoju powszechnego.

Akt przyjaźni między Francja a Ameryką ma być zawarty w niedalekiej przyszłości w takiej formie, by umożliwić innym państwom przystąpienie do umowy.

Budżet Francji na r. 1928 został uchwalony po długich debatach i uzgodnieniu przez obie Izby. Przez chwilę groziło przesilenie gabinetowe z powodu drobnej pozycji w budżecie.

Zagadnienia reparacyjne mogą być rozwiązane dopiero po ustaleniu definitywnej sumy niemieckiego długu. Tak twierdzi Parker Gilbert.

P. Waldemaras wybiera się do Berlina, aby omówić z p. Stresemannem sprawę traktatu handlowego Niemiec z Litwą.

Wielka Koalicja demokratów, socjalistów, centrum i ludowców tworzy się rzekomo w Niemczech na czas wyborów. Czy jednak naprawdę uda się pogodzić partyjne waśnie?

Kandydata na Prezydenta Stanów wciąż nie mogą znaleść amerykańscy republikanie. Największe szanse miałby Hoover, lecz także nie kwapi się do tej godności.

Nacjonaliści hinduscy zbojkotowali angielskie projekty samorządowe. Indje chcą same decydować o swoim ustroju.

RÓŻNE

Gwałtowne burze w Kanale La Manche przerwały komunikację między Francją, cierpiącą skutkiem mrozów, a Anglją, dosłownie zasypaną śniegami.

Wybuch zbiorników nafty Standard Oil Company w Tientsinie zniszczył ogromne zapasy i wyrządził miastu olbrzymie szkody.

Otwarcie Fabryki Fortepianów i Pianin

Znana przed wojną fabryka fortepianów i pianin Małeckiego, założona w r. 1857, która z powodu wszechświatowej wojny zmuszona była przerwać swą działalność, obcenie po gruntownem przerobieniu i zaopatrzeniu się w nowoczesne urządzenia techniczne, z początkiem roku bieżącego ponowne rozpoczyna swą przerwaną pracę.

Należy nadmienić, że fabryka do wojny wyprodukowała około 40.000 instrumentów, które zyskały sobie wszechświatową sławę, zdobywając wiele nagród na wystawach międzynarodowych.

Nie chcąc rozpisywać się zbyt szeroko dodajemy, że fabryka Małeckiego zamierza produkować około 800 pianin rocznie i życzyć należy, by produkcja ta rok rocznie wzrastała.



Wśród wielkich i urządzonych na modłę pierwszorzędnych europejskich tego rodzaju magazynów, wysunął się w Warszawie na pierwszy plan Magazyn konfekcji damskiej i męzkiej oraz skład trykotarzy własnego wyrobu starej od 40 przeszło lat istniejącej firmy „R. Ginter i H. Rybarska" mieszczący się w centrum stolicy, przy ul. Marszałkowskiej 122.

Stale i tak wspaniale rozwijający się u nas sport wywołał ogromne zapotrzebowanie sportowych wyrobów trykotowych, któremu z wielkiem zadowoleniem naszego świata sportowego czyni zadość firma „Ginter i Rybarska" zaopatrując swą liczną klijentelę z pośród najwybitniejszych sportowców wyrobami trykotowymi pierwszorzędnej doskonałości. Dział ten będący zasadniczym, aczkolwiek nie jedynym, który firma „Ginter i Rybarska" prowadzi, zasługuje na specjalne wyróżnienie tak z powodu wysokiej wartości tych wyrobów jak nie mniej z powodu scisłego zastosowania ich do wymagań i zasad sportu.

Po za tym działem firma „Ginter i Rybarska" prowadzi niezmiernie bogato zaopatrzony w najmodniejszą i cenną konfekcję damską i męzką. Wszystko co tylko jest najlepszego i najbardziej praktycznego w tym dziale znajduje się zawsze na składzie w magazynie firmy „Ginter i Rybarska. Pragnąc zadowolić swą liczną i doborową klijentelę, firma posiada nie tylko krajową w najlepszych gatunkach, lecz i zagraniczną, tak zawsze poszukiwaną przez wykwintną klijentelę.

Na zbliżający się karnawał firma „Ginter i Rybarska" bogato została zaopatrzona, w najświeższe i najmodniejsze przedmioty balowe dla panów, którzy znajdą w tym magazynie to wszystko, co jest konieczne, dla stroju balowego.

Śmiało też możemy polecić magazyn p. f. „R. Ginter i H. Rybarska" najwybredniejszym i najbardziej „pashionable" elegantom jako pierwszorzędną firmę zdolną zaspokoić najbardziej wybredne gusta.

M. J—cki

Prenumerata „Świata" wynosi: w Warszawie: miesięcznie Zł. 4.80; na prowincji: miesięcznie Zł. 5.00. Łącznie z dziełami Balzaka (jeden tom miesięcznie od 160 do 400 stron druku) w Warszawie: miesięcznie Zł. 7.30; na prowincji: miesięcznie Zł. 7.50.

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI

Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa